

W poprzednim numerze „Dunajca” zamieściliśmy list red. Tomasa Kowalika z „Walki Młodych”, poruszający bardzo dziś żywo dyskutowaną sprawę budowy nowych wyciągów narciarskich w Tatrach. Redaktor Kowalik ostro zaatakował projekty nowych kolejek wyciągowych argumentując, że najwyższy czas postawić bezwzględnie na pierwszym miejscu racje ekologiczne, które ściśle wiążą się z racjami ogólnospołecznymi. Pośrednio obiektem krytyki redaktora Kowalika była sprawa Uchwały Rady Ministrów nr 157/79, w której znalazło się uzupełnienie ściśle wyznaczające ilość i rozmieszczenie licznych nowych wyciągów w Tatrach.

List Tomasa Kowalika skłonił nas do zorganizowania redakcyjnego spotkania na temat nart w Tatrach. Obyło się ono 12 marca w Zakopanem; gościł nas dyrektor „Juwentury” STEFAN DZIEDZIC, wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Zdrowia i Kultury Fizycznej, który był aktywnym uczestnikiem dyskusji. Udział wzięli: najlepszy polski zjazdowiec ANDRZEJ BACHLEDA-CURUS, redaktor JERZY IWASZKIEWICZ ze „Sportowca”, dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego LEON NIEDZIELSKI, wiceprzewodniczący Komisji Ochrony Środowiska Gminy Tatrzańskiej WALENTY OBROCHTA, przewodniczący Zarządu Miejskiego Ligi Ochrony Przyrody w Zakopanem JAN PARCZEWSKI, członek Rady Naukowej TPN doktor WITOLD PARYSKI, zastępca naczelnika Zakopanego STANISŁAW SŁODYCKA, profesor TADEUSZ WILGAŃ z Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie – członek Państwowej Rady Ochrony Przyrody – oraz wicedyrektor TPN JERZY ZEMBRZUSKI. Obserwatorem był dyrektor Roztoczańskiego Parku Narodowego ZDZISŁAW KOTUŁA. W imieniu „Dunajca” dyskusję przegotował, prowadził i opracował ADAM GARBICZ; zdjęcia STANISŁAWA ŚMIERCIĄKA.

ŚLALOM W KOTLE

Powyżej – najbardziej sporne terytorium w Polsce: rejon kotłów Kasprowego Wierchu. Od lat jest to ulubione miejsce narciarzy – i od lat ich ślalom na śniegu powodują ślalom wokół problemów ustawienia tu dalszych kolejek wyciągowych. Powód? Teren znajduje się w obrębie Parku Narodowego.

★ Jak rozstrzygnąć spór obrońców natury i amatorów jeźdźstwa na nartach? Czy narciarze szkodzą przyrodzie? Co jest najważniejsze?

★ Zakopane się dusi. W jaki sposób odciążyć miasto? Czy stać nas na inwestowanie w sporty zimowe? Jak to robić i dlaczego?

★ Tatra są jedyne pod względem przyrodniczym. Czy są również jedyne pod względem narciarskim?

★ Czy każdy obywatel musi sobie łamać nogi na Kasprowym? Ilu ludzi może tu jeździć? Co jest niezdrową ambicją, a co społeczną potrzebą?

★ Czy możemy nadal odkładać na przyszłość budowę wyciągów? Andrzej Bachledda mówi, że właśnie teraz trafia się nam wielka szansa! Jaka?

O tym wszystkim w dyskusji okrągłego stołu, zorganizowanej przez „Dunajec”. Dziś jej pierwsza część – na stronach 6 i 7.

Skończyłem pisać tekst o naszych sądeckich sprawach, jakże one jednak zmalały w obliczu wydarzeń na drugim krańcu Polski! Czas nagli, trzeba uruchomić telexy. Zlekam, zastanawiam się, czy wobec tragedii, która jest tak blisko jak nigdy dotąd, wolno mówić o czym innym?

Zmalały nie tylko lokalne konflikty; my sami nagle też jesteśmy mniejsi, bo bezradni wobec lawiny zdarzeń. Mówi się, że los kraju jest w polskich rękach. Cóż jednak naprawdę zależy od mnie, czy od Ciebie, Czytelniku? Czy myślimy tę lawinę ruszyli? Czy nie przemówił do nas apel o 90 spokojnych, pracowitych dni?

W tysiącach domów to samo pytanie: komu zależało na przerwaniu narodowego zawieszania waśni? Od czego naprawdę zaczęła się awantura w Bydgoszczy? Znamy fakty. Czekamy na dalsze. Przetrawiamy je, oceniamy, szukamy prawdy. Znowu podzieleni, nieufni, niespokojni. Kto to sprawił? Ci, którzy nie posłuchali wezwania i pozostali w sali? Czy ci, którzy zdecydowali o jej opróżnieniu? Ci, którzy wezwali swych zwolenników pod urząd wojewódzki? Czy ci, którzy przegrali obrady?

Miną lata, szczegóły zetrą się w pamięci, ale pytania staną się mało ważne. Wyblakną lokalne konflikty szarpające dziś wszystkie środowiska. Przed trybunałem narodowej sprawiedliwości staną ci, którzy w godzinie próby niefrasobliwie dysponowali swą siłą. Którzy igrali z losem ojczyzny. Którzy na politycznej scenie zachowywali się jak harscerski szczerp w czasie leśnej zabaw-

ADAM OGORZAŁEK

Pisanie w pośpiechu

wy. Spytasz Czytelniku, kogo mam na myśli? Kto będzie sędzią, a kto oskarżonym? Wątpliwości nie mam, że wyrok w każdym przypadku wyda naród. Jeśli dojdzie do tragedii, kilka pokoleń głowić się będzie, gdzie mieliśmy rozum, że do niej dopuściliśmy. To do nas — żywych czy martwych — skierowane zostanie pytanie o odpowiedzialność. Do tych, którym braknie cierpliwości, dobrej woli, realizmu.

Zmalały lokalne konflikty, skurczyły się nasze możliwości. W tym zdaniu jest prawda i zarazem nieprawda. W pojedynkę nie zatrzymasz lawiny. Ale dotychczas swoją wzię do wysiłków tych, którzy chcą odwrócić niebezpieczny bieg wypadków, możesz jednak zrobić coś pożytecznego. Stoimy wszyscy bez wyjątku przed wyborem, prawdopodobnie najtrudniejszym w życiu: być pasywnym kibicem zdarzeń? Aktywnie wspierać i wymierzających sprawiedliwość przeszłości? czy może jednak posłuchać tego człowieka w mundurze generałskim, który obiecuje doprowadzić do końca proces rozliczeń, ale równocześnie żąda powściągliwości w dyktowaniu terminów, opa-

nowania w słowach i czynach, dyscypliny, poszanowania prawa, przerwania jątrzącej agitacji?

Piszę tę refleksję we wtorek nad ranem. Nie wiem, co zdarzy się w środę, w piątek. Może znowu uda się uniknąć najgorszego. Nie mogę się wszakże oprzeć wrażeniu, że wciąż tylko przesuwa się w czasie chmura wisząca nad nami. Że ważne jest ominięcie kolejnej przeszłości, ale to niczego jeszcze nie rozwiązuje. Chwała cierpliwym negocjatorom — świeckim i duchownym, partyjnym i bezpartyjnym. Chwała tym, którzy wzięli o nowa poszukują porozumienia. Czy są oni jednak w stanie ugasić wszystkie ogniska wzniecone — to już nie ulega wątpliwości — z premedytacją, świadomie i z wyrachowaniem?

Ilu jest wśród nas ludzi wzniecających napięcia, ślepych z nienawiści, zainteresowanych w podsycaniu palącej pożogi? Przecież niewiele. Czy możliwe jest, by potrafili narzucić nam swój scenariusz wydarzeń? Tak, to jest możliwe, jeżeli w porę nie pozabawimy ich prawa decydowania za nas. Zarówno ospały, pozabawiony wybra-

źni i wrażliwości biurokrata, jak i krzykacz, autor klamliwej ulotki, intrygant — pchają nas ku nieszczęściu.

Osobliwy czas: każda wiadomość oficjalna — wśród części społeczeństwa — uchodzi za nieprawdziwą, natomiast daje się wiarę najbardziej fantastycznym zmyśleniom. Długo by się zastanawiać, dlaczego tak właśnie funkcjonuje system informacji. Nie jest to wyłącznie spuścizna po przeszłości. Ale też nie jest to najpilniejsza sprawa najbliższych dni. Najpilniej potrzebne jest nam opamiętanie i nowy pakt społeczny nakazujący godzenie programy Sierpnia z wymogami czasu. Plakatem bijącym w ródka, pistoletem strajkowym, w obronę, pijącą emocje ulotką — nie odbroniemy niczego, co z takim trudem osiągnęliśmy.

Nie pierwszy raz w naszej historii tak wiele zależy od trafności politycznych decyzji. Kto je ma podjąć? Legalny polski rząd czy skryci w cieniu eskalatorzy napięć? Kogo rzeczywiście popieramy? Są to pytania, które trzeba rozwiązywać pilnie z własnym sumieniem. Pytają nas inni, dokąd idziemy? Nie zlekąkajmy z odpowiedzi. Nie wstydzmy się powiedzieć tego, co dojrzało w nas w tych znowu gorzkich dniach: nie chcemy żyć wśród fałszu, nonsensów i lekceważenia głosów krytyki, ale dość mamy również niepełności o jutro, wiecznych swarów, igrania z tragedią. W kręgu swoich możliwości, na miarę sil — zatrzymajmy niebezpieczną grę. Umęczona napłeciami Polska nie wytrzyma tej sytuacji. Rozejm nie jest kapitulacją. Potrzebujemy go pilnie wszyscy. Natychmiast i możliwie na długo.

REDAGUJE KRYSZYNA GROSZEK Piórem innych

10-16. III. 1991

Działalność rad narodowych

W ostatnich miesiącach widać wyraźną zmianę stylu działania WRN, dyskusje są żywsze, inaczej realizuje się postanowienia Rady. Natomiast zdecydowanie większej aktywności wymaga działanie rad narodowych szczebla podstawowego. Ten temat jak i przebieg rozmów z „Solidarnością” był przedmiotem posiedzenia Wojewódzkiej Komisji Współdziałania Partii i Stronnictw Politycznych w Nowym Sączu, w którym m.in. udział wzięli: I sekretarz KW PZPR — Henryk Kostecki, prezes WK ZSL — Zbigniew Barylak, przewodniczący WK SD — Czesław Grzesiak.

W interesie społecznym

Komitet Miejski partii w Zakopanem, wspólnie z „Solidarnością” działa w sprawie przekazania na cele ogólnospołeczne obiektów należących do Urzędu Rady Ministrów — powiedział reporterce „Gazety Krakowskiej” I sekretarz KM Ryszard Kotowicz. Z kilkoma budynkami wiąże się konkretne plany. M.in. „Zgorzeliśko” przeznaczony na sanatorium dla dzieci i młodzieży, „Farys” pomoże rozładować palącą sytuację mieszkaniową, a w „Cyrankiewiczówce” planuje się urządzenie ekspozycji unikalnych kościołów wschodnich.

Pokrzywdzony jest czytelnik

W samym tylko Nowym Sączu ilość chętnych na prenumeratę prasy wzrosła o ok. 200 proc. Tymczasem od września ub. roku nikt nie potrafi rozwiązać prostej z pozoru sprawy jej kolportażu. Odżegnuje się od tej działalności i poczta, i „Ruch”. Coraz to nowe propozycje — m.in. osiedlowa

służba gazetowa — też najprawdopodobniej skończą się fiaskiem, bo i skąd wziąć chętnych do roznoszenia gazet. Tak więc kontredans kolportażowoprasy trwa dalej — twierdzi „Dziennik Polski”.

Rolnicze sprawy...

Ł związane z nimi kłopoty: niedobory paszowe, braki materiału siewnego, sadzeniaików, nawozów mineralnych — były przedmiotem troski obradującej pod przewodnictwem I sekretarza Henryka Kosteckiego, Egzekutywy KW partii.

Trudno handlować rozdzielnikiem...

„stwierdza „DZIENNIK POLSKI”. Okazuje się, że rozdzielnik swoją drogą, a jego realizacja — swoją. Dostawa masy towarowej w styczniu były niezadowolające. Realizacja dostaw szeregu artykułów poprawiła się trochę w drugiej dekadzie lutego. Łańcuchową reakcję powoduje ubogi asortyment towarów. Brak np. mąki przyczynia się do wykupywania makaronów, brak jednego rodzaju tłuszczu — powoduje zwiększony popyt na inne. Tak więc jakby nie naciągać kodyry, zawsze wystawać będą nogi lub głowa.

45 lat kolejki linowej na Kasprowy

O tym fakcie przypomni „Przekrojowi” jeden z czytelników. Najpoważniejszym wówczas, w 1935 roku, problemem było dostarczenie na Kasprowy materiałów budowlanych i wody. Transport konny docierał tylko do Kotta Gąsienicowego, a dalej materiały przenoszone były na barkach ludzkich. Wodę dostarczano na górę w beczkach kolejką roboczą. Mimo tych trudności — na trzy dni przed wyznaczonym terminem, 26 lutego 1936 r., pierwszy pasażerowie wjechali na Mysienickie Turnie, a w kilka dni później na Kasprowy Wierch.

Urząd — „Solidarność”

W Nowym Sączu, dialog: administracja — „Solidarność” nie rozwija się „jak po maśle”. Notuje się pewne opóźnienia w sfinalizowaniu niektórych spraw wynikających z porozumienia warszawskiego, zawartego pomiędzy komisją roboczą szczebla centralnego a „Solidarnością”. Wicewojewoda Edward Lięża, zapewnił na łamach „Gazety Krakowskiej” że: kwestie lokalu, dalekopisu, samochodu i telefonu dla MKZ Małopolska Komisji w Nowym Sączu są w trakcie załatwiania. Ponadto powiedział: „Często zamiast mówić o problemach — mówimy o szczegółach. Stawiamy problemy, z których społeczeństwo będzie nas rozliczać”. Spotkania wojewody z „Solidarnością” będą odbywać się co dwa tygodnie.

Krytycznie o Szczawnicy

Dworzec PKS w Szczawnicy „grzeszy” nie tylko małą przestrzenią, utrudniającą manewrowanie autobusom. Pasażerom dokuczają brak zaplecza gastronomicznego. Istniejący tu kiosk spożywczy nie spełnia oczekiwań podróżnych: czynny zbyt krótko, źle zaopatrzonej; o kanapkach z czymkolwiek czy gorącej herbacie nikt tu nie pomyślał. Miejscowej GS nie zależy widać na dobrej renomie uzdrowiska.

Laureaci

W gronie zwycięzców eliminacji wojewódzkiej XX Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej znaleźli się: solistka Maria Bąba (szkoła muzyczna Nowy Sącz), w kategorii zespołów wokalnych I miejsce zdobył duet Zofia Kilanowicz — Małgorzata Mierzwa (szkoła muzyczna Nowy Targ). W grupie wokально-instrumentalnej I miejsce (I nie przyznano) — wywalczył reprezentujący MDK Nowy Sącz zespół pn. „Palma naszego tatusia”.

Sztandar dla KS „Wierchy”

Klub Sportowy „Wierchy” w Rabce prowadzi działalność w sekcjach: lekkoatletycznej, narciarskiej i piłki nożnej, a jego członkowie osiągają dobre wyniki sportowe. W uznaniu tych zasług społeczeństwo Rabki ufundowało klubowi sztandar.

Renciści w nielase

Nielatwe mają życie mieszkańcy osiedla Barskie II w Nowym Sączu. Wszystkich bolące jest sposób wyliczyć. Administracja osiedla nie dba o swoich lokatorów. Jeszcze jednym tego przykładem jest zlokalizowanie punktu odbioru biletów towarowych dla emerytów i rencistów w prywatnej posesji przy ul. Szarych Szeregów, gdzie dojeżdżenie w dni słotne jest praktycznie niemożliwe i dla starszego człowieka stanowi jeden wielki tor przeszkód.

A sama operacja wydawania biletów odbywa się w... szopie właściciela domu. Szanowna Administracja — więcej szacunku dla starszych!

W rozmowach — postęp

Kolejny etap rozmów prowadzonych w Nowym Sączu pomiędzy komisją roboczą szczebla centralnego, a „Solidarnością” przyniósł podpisanie protokołu ustaleń. Większość zgłoszonych postulatów ma być załatwiona lub rozpatrzone w marcu. M.in. dotyczą one: nadużywania stanowisk do celów prywatnych, niewłaściwej postawy etycznej urzędników, kierunku inwestycji, nieobsadzania stanowisk kierowniczych ludźmi, którzy na poprzednich byli nieudolni bądź nieuczciwi.

W sprawach kadrowych: wojewoda nowosądecki po rozpoznananiu zarzutów, zawiesił w czynnościach służbowych kierownictwo starsosądeckiej GS: prezesa — Juliana Marczyka i wiceprezesa — Tadeusza Ziębownego. Wojewoda zapowiedział również, do dnia 18 marca br. — dokonanie zmian kadrowych wśród osób, odpowiedzialnych za istniejący stan w nowosądeckiej służbie zdrowia. Dotyczy to również dyr. Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UW — Alfreda Jakubowskiego.

Najlepsi z języka rosyjskiego

Pod egidą ZW TPPR w Nowym Sączu, odbywały się eliminacje wojewódzkie XII Olimpiady języka rosyjskiego szkół średnich. Najlepszą rosyjską okazała się Urszula Szeliga z LO w Nowym Targu, II miejsce zajęła Lucyna Pietiak — LO Gorlice, III przypadło Iwonie Jargut — uczennicy II LO w Nowym Sączu.

Mieszkań, mieszkań! I przede wszystkim mieszkań! Następnie tak zwanej bazy: szpitali, przychodni, domów opieki społecznej, żłobków. Dalej — kadr, aparatury, sprzętu medycznego, leków.

Od mieszkań jednak zaczyna się owa długa lista potrzeb i bolączek nowosądeckiego leczenia. O ich brak rozbijają się wszelkie próby naprawiania sytuacji, rozdawania kolejek przed lekarskimi gabinetami, skrócenia oczekiwania na szpitalne łóżko. Gdyby nawet wygospodarowano pomieszczenia na nowe przychodnie, gdyby zechciano przedłużyć godziny przyjęć — zabraknie lekarzy i pielęgniarek. Nie tylko dlatego, że byli dotychczas kłopoty z uzyskaniem etatów, lecz — a nawet zwłaszcza — dlatego, że zatrudnienie nowego człowieka pociąga za sobą konieczność zapewnienia mu mieszkania w nowym miejscu pracy. Pewną szansę mogłyby stworzyć stypendia fundowane dla słuchaczy studiów medycznych — mieszkańców naszej ziemi; dotychczas jednak wojewódzkim władzom nie udało się takich stypendiów uzyskać.

Najtrudniejszą pod względem mieszkaniowym sytuację mają zespoły opieki zdrowotnej w Nowym Sączu oraz Krynicy. O potrzebach nowosądeckich pisałam już w „Dunajcu”, lecz przypomnę: dziś czeka tu na przydział mieszkania około 200 osób, tymczasem w roku bieżącym ma tych mieszkań być 15, zaś w przyszłym — 32. Nie wystarczy ich nawet dla obecnie zatrudnionych, cóż więc można oferować nowym ludziom, których bezwzględnie należałoby przyjąć? W Krynicy, gdzie nie buduje się też aż w ogóle domów mieszkaniowych dla potrzeb komunalnych, jest jeszcze gorzej. W innych ZOZ-ach wcale nie jest zresztą lepiej.

Jak temu zaradzić? Nie ma co liczyć na rychłe radykalne rozwiązanie problemu, można jednak nieco złagodzić sytuację tam, gdzie jest ona najdramatyczniejsza. Na przykład przez przekazanie jednego bloku mieszkalnego w stolicy województwa na mieszkania rotacyjne dla najbardziej potrzebujących pracowników tutejszego ZOZ, czy przez oddanie służbie zdrowia budynku po dawnej WRZZ. Krynica z kolei mogłaby przeznaczyć na potrzeby mieszkaniowe ZOZ jeden z domów czasowych. Przyspieszenie remontu starego szpitala w Limanowej pozwoliłoby wykorzystać go na hotel pracowniczy. Potrzeba jednak rzetelnej rozpatrzenia wszystkich możliwości, sięgnięcia po wszystkie rezerwy i dobrej woli decydentów.

Baza... Problem równie nabrzmiały, bolesny. Nawet gdyby zdarzył się cud, gdyby uzyskano dziś, zaraz, fundusze, moce przerobowe, ludzi i wszystko co do wnoszenia nowych i remontu istniejących budynków niezbędne — trzeba by kilku przynajmniej lat, nim efekt tego stałby się w pełni odczuwalny. A że na cud nie można liczyć, więc znów lata się, sztukuje, rozpatruje każdą ofertę. Lecz realia są takie: szpital nowosądecki — w permanentnym remoncie, przy czym wiadomo, że dopiero budowa nowego, prawdziwie na miarę wojewódzkiego szpitala może rozwiązać problem. Tymczasem od rozpoczęcia prac dzieła nas co najmniej cztery lata, a zatem pierwsi chorzy znajdują w nowym szpitalu pomoc nie wcześniej, niż po roku 1990 (i to według optymistycznych prognoz). Nawet szpitale w Gorlicach czy Limanowej dziś absorbują masę sił i środków; brakuje ich więc gdzie indziej na usuwanie usterek i niedoróbek, stąd remonty starych budynków szpitalnych w tych miejscowościach znajdują się na razie głównie w sferze gorących życzeń. Szpital nowotarski ma szansę trafić do księgi rekordów światowych, jeśli chodzi o perturbacje związane z budową i długością cyklu tejsze. Przy szpitalu krynickim powinien być zbudowany nowy pawilon, ale władze wojewódzkie stanęły przed dylematem — brać się za ten pawilon, czy za niezbędną w Krynicy nową przychodnię, bowiem uzyskano zgodę na rozpoczęcie tam tylko jednej inwestycji służby zdrowia. Dodatkowo komplikują sprawę różne pochopne decyzje, jak ta o likwidacji izby przyjęć w Szczawnicy, która wywołała ogromne rozgoryczenie tamtejszego społeczeństwa; obecnie rozważa się możliwość otwarcia oddziału internistycznego w ramach uzdrowiska, co zapewniłoby podstawową pomoc zarówno kuracjom, jak i mieszkańcom miasta.

Trudności zaś narastają. Zamknięcie szpitala psychiatrycznego w Kobierzy- nie automatycznie pociągnęło za sobą konieczność znalezienia miejsca dla pacjentów, którzy dotychczas byli tam kierowani. Projektowano utworzenie w

budynku szpitala gorlickiego 50-łóżkowego wojewódzkiego oddziału psychiatrycznego, ale wówczas specjalna uchwała przeciwstawiła się temu Miejska Rada Narodowa i trzeba było dopiero interwencji wojewody, by tę uchwałę uchylić. A nie jest to jedyny przypadek wąskiego, partykularnego podejścia do potrzeb województwa w sferze ochrony zdrowia.

Równie niewesoła jest sytuacja przychodni — zarówno rejonowych, jak i specjalistycznych. Wiele z nich pracuje tylko przez parę godzin w tygodniu, często w warunkach urągających nie tylko elementarnym wyobrażeniom o służbie choremu człowiekowi, ale i o potrzebach najzdrowszego.

To jeszcze bardziej utrudnia pracę lekarzy, do których pacjent wchodzi

wiście służą społeczeństwu województwa, muszą zajmować się również wieloma spośród kilkunastu milionów gości, którzy ulegają wypadkowi lub zwyczajnie chorują podczas pobytu na naszej ziemi. A jeśli nawet nie weźmiemy gości pod uwagę, to i tak na każde 10 tysięcy mieszkańców z terenu ZOZ nowosądeckiego przypada 7 lekarzy, w Nowym Targu — 6, w Gorlicach „aż” 14 — przy średniej krajowej 18,4. Ośrodek zdrowia w Bobowej nie ma ani jednego ginekologa. Co to oznacza nie tylko dla samych kobiet, ale i dla następnego pokolenia — wiadomo. W szpitalu nowotarskim musiało zamknąć oddział intensywnej terapii, gdyż mimo licznych konkursów nie znalazłono anestesjologa. Lekarze z Zakopanego odbywają staże specjali-

skim ZOZ. Brak aparatury diagnostycznej w szpitalu krynickim (ma ją natomiast tamtejsze sanatorium „Budowlani” dla nielicznej grupy kuracjuszy). Przypomnie brak transportu sanitarnego; na przykład — szpitalnej karetki „R” w Krynicy. Na skandal z krawa fakt, że szpitale borykają się z niedostatkami leków, czy środków czystości.

Osobny rozdział stanowią problemy inwestycyjne i remonty. Dla prawidłowego funkcjonowania istniejącej dziś bazy służby zdrowia w naszym województwie niezbędne jest dysponowanie funduszem w wysokości 72 milionów złotych rocznie na remonty kapitałowe (i 40–50 milionami na zakup aparatury). Na rok bieżący przyznano 37 milionów, czyli połowę, a dopiero połowa z tej połowy, czyli 18 milionów na pokrycie w mocach przerobowych. Z kolei materiałów wystarczy tylko na 60 proc. prac, podjętych za owe 18 milionów. A w końcu: kto ma wykonywać remonty? Nie istnieją służby wyspecjalizowane w tego typu pracach. Dlatego od dawna postulują się utworzenie ekip remontowych przy ZOZ-ach, aby skończyć z upokarzającą sytuacją, w której dyrektorzy ZOZ-ów błagają rozmaite firmy, by raczyły podjąć się niezbędnych prac na rzecz służby zdrowia.

Przez ostatnie kilka lat znakomitym wytłumaczeniem, dlaczego w służbie zdrowia dzieje się źle, było obciążenie winą reformy, która wprowadziła lecniczo zintegrowane. Że to pomyślnie pononiony, że nie zdaje egzaminu życia; ze... Prawda jednak jest inna: nie struktura jest zła, lecz po prostu nie stworzono warunków jej prawidłowego funkcjonowania. Struktura ZOZ jest jednym z najznakomitszych rozwiązań w świecie. Nie ma jednak właściwej bazy, kadry i nakładów; te podstawowe warunki są w wojewódzkiej służbie zdrowia spełnione zaledwie w około 40 procentach. Należałoby się więc cieszyć, że zadania wykonane są mimo to aż w połowie...

Oczywiście pewne korekty ZOZ-ów — ale nie strukturalne, a terytorialne — będą konieczne. Należy, na przykład, uwzględnić życzenie mieszkańców Piwnicznej i „przerzucić” ich z ZOZ krynickiego do nowosądeckiego; podobnie w przypadku grybowian, którym o wiele wygodniej udawać się do lekarza w Gorlicach niż w Krynicy.

Trzeba sobie wreszcie uświadomić, że służby zdrowia nie da się wydzielić z całokształtu życia, że za poziom zdrowotny społeczeństwa nie odpowiadają wyłącznie lekarze, że opieka medyczna warunkuje cały system czynników pozamedycznych.

Każdy ZOZ — to wielkie, skomplikowane przedsiębiorstwo, wykonujące różnorodne zadania. To jednocześnie baza hotelowa, gastronomiczna, transportowa, to gospodarstwa rolne i zakłady pralnicze, inwestor i zakład naprawy sprzętu o najwyższym światowym standardzie technicznym itd. W każdej z tych dziedzin służba zdrowia musi mieć bezwzględny priorytet. Niestety, zbyt jeszcze często nieprzeanalizowane, automatyczne decyzje sprawiają, że szpital nie może wykonać drobnej naprawy, bo wyczerpano limit na te cele; nie może zakupić sprzętu, bo ten objęło zakazem sprzedaży, pozarynkowej. A przecież jest różnica; czy lewówka ma służyć chłodzeniu wód mineralnych w gabinecie dyrektora fabryki, czy przechowywaniu leków na oddziale szpitalnym. Żle, gdy woda kapie z jakiegokolwiek kranu, ale wrecz niedopuszczalne jest, gdy kapie tuż obok łóżka ciężko chorego, bo może zniwieżyć trud wielu lekarzy, odbić się na zdrowiu pacjenta. Nie do pomyślenia jest, by w szpitalu zabrakło proszka do prania, by nie otrzymano odpowiednich produktów dla kuchni; przygotowującej potrawy według ściśle określonych diet.

Za mało mówi się również o tym, jak ogromny wpływ na zdrowie obywateli wywierają sytuacje stresowe, napięcia społeczne, zle zaopatrzenie rynku żywnościowego. Nic nie pomaga najwspanialsze programy walki z chorobami serca, gdy jeść będziemy wbrew wszelkim regulom, gdy zwał gonieć będzie zawał. Nie mamy co myśleć o zdrowych pokoleniach, jeśli u prądu życia nie zapewnimy człowiekowi niezbędnych dla prawidłowego rozwoju warunków. To też są przyczyny, komplikujące i tak już trudną pracę służby zdrowia.

Elżbieta Glinka

CZEGO BRAKUJE SŁUŻBIE ZDROWIA?



Fot: ARCHIWUM

nie tylko chory, ale i zdenerwowany długim czekaniem. W dodatku prawie się nie zdarza, by któryś lekarz mógł przyjąć tylko tyłu pacjentów, ilu mu „przydzielają” normy — zazwyczaj jest ich, kilku, a nawet kilkunastu więcej. Bo lekarzy i pielęgniarek też mamy o wiele za mało. Aż dziw, że dzieje się to w regionie stanowiącym „zagłębie zdrowia” dla całego kraju! Wprawdzie do niedawna statystyki wykazywały, że pod tym względem prawie miłośnicy w średniej krajowej, były to jednakże dane równie prawdziwe, jak w owej anegdotce o tym, ile razy statystyczny mąż zdradza żonę. Po prostu podsumowano ilość lekarzy, podzielono przez nią liczbę mieszkańców województwa — i — otrzymano wynik, nie mający nic wspólnego z prawdą. Ogromna bowiem część tego personelu medycznego zatrudniona jest w uzdrowiskach, wyłącznie na potrzeby kuracjuszy. Z kolei ci lekarze, którzy rzeczy-

styczne na koszt własny, bo ZOZ nie dostał na te cele funduszy!

Opieka społeczna — to znów morze potrzeb. Co zrobić z ludźmi starymi, z przewlekłymi chorymi? Dziś zajmują oni niepotrzebnie łóżka szpitalne lub egzystują w strasznych warunkach. Dlatego wojewódzka służba zdrowia tak uparcie walczy o to, by uzyskać na ten cel zakopiański obiekt im. Chałubińskiego, czy wykupić krynickie „Zmorzytko”. Inna sprawa: permanentnie brakuje miejsc w żłobkach, mimo podejmowania różnych kroków politycznych, jak tworzenie w adaptowanych pomieszczeniach żłobków filialnych.

Te ogromne trudności w pracy nowosądeckiej służby zdrowia pogłębia jeszcze brak aparatury, leków, odzieży. Przypomnę tylko głośną sprawę aparatu rentgenowskiego w Gorlicach, sytuację pracowni rentgenologicznej w szpitalu nowosądeckim i w nowotar-

W czwartek, 2 kwietnia, w naszej redakcji

Rozpoczynamy dyżury prawne

Redakcyjna poczta z dnia na dzień staje się coraz obfitsza. Da grona wiernych korespondentów, dzielących się z nami swymi uwagami niemal od pierwszych chwil powstania pisma dołączają dalsi Czytelnicy. Część ich listów trafia na łamy „Trybuny Czytelników”, część zostaje przekazana do do wyjaśnienia właściwym instytucjom. Niektóre z korespondencji zainspirowały dziennikarzy naszego redakcyjnego zespołu do podjęcia zasygnalizowanych tematów w formie obszerniejszych publikacji.

I jak do każdej redakcji, tak i do nas zwracają się Czytelnicy z prośbą o porady prawne. Ostatnie tygodnie przynoszą coraz więcej listów, których autorzy proszą o wyjaśnienie skomplikowanych

niezawiesz spraw ze sfery prawa pracy, przepisów dotyczących rent i emerytur, spraw majątkowych itp. Wychodząc na przeciw postulatom naszych Czytelników, dzięki życzliwej pomocy Zespołu Radców Prawnych Urzędu Wojewódzkiego, uruchamiamy z dniem 2 kwietnia br. cotygodniowe dyżury prawne. W każdy czwartek, w lokalu naszej redakcji w Nowym Sączu, ul. Żółkiewskiego 11, II p. w godzinach od 12—13 pod numerem telefonu 238-90 dyżurował będzie radca prawny, udzielając telefonicznych wyjaśnień; zaś w godzinach 13 — 15 osobiście przyjmował zainteresowanych.

Przypominamy: pierwszy dyżur prawny — w czwartek, 2 kwietnia.

zrzeszenie taksówkarzy, czy podejmie jakieś kroki, by je ukrocić? Zobowiązany byłbym za stosowne wyjaśnienie.

J. O. Nowy Sącz
(nazwisko i adres znane redakcji)

„Słopiczanom” trzeba pomóc!

Serce bije nam mocniej, kiedy słyszymy, że „gdzieś w świecie” bardzo podobaly się zespoły „Mazowsze”, „Śląsk”, „Słowianki”... Mamy prawo do dumy z tego powodu. Istnieją jednak mniej znane zespoły, które również kultuwają folklor swego regionu. Los ich jest różny, a droga do sławy bynajmniej nie łatwa.

Zespół „Słopiczanie” powstał stonkunkowo niedawno, skupia ludzi miodych i starszych, i boryka się z różnymi trudnościami. Skąd np. wziąć jednolite stroje, jeśli każdy z członków zespołu musiałby zafundować je sobie z własnej kieszeni, a przecież zarobki nie są wysokie? Przypadłyby się jakieś mecenasy, ale jak dotąd — chętnych do objęcia patronatu nad zespołem nie ma. Dalej: zespół potrzebuje sali na próby, przysłałby się też jakaś izdebka na instrumenty i stroje — jak na razie są to tylko marzenia. Dziwić się nawet, że „Słopiczanie” jak dotąd się nie zniechęcili.

Warto byłoby chyba pomóc temu zespołowi, a myślę, że i wielu innym, działającym amatorsko na ziemi sądeckiej. Kultura narodowe wyrosła wszak z ludowej i to jest główny argument za kultuwowaniem folkloru. W epoce wielkiej migracji ze wsi do miast nie jest to bynajmniej zadaniem łatwym. Pragnęłabym bardzo, aby znalazł się ktoś, kto temu młodemu, nieodświadczoneму zespołowi pomoże.

MARIA RANOSZ
Słopnice

Zapomniana malarka

Z dużą satysfakcją dowiedziałem się z „Dunajca”, że w krynicznej „Romanówce” powstanie prawdopodobnie „Dom Nikifora”. Żaluję jednak, że autor nie wspominał ani słowem o zmarłej w maju ub. roku artystce Annie Czartoryskiej, która przez wiele lat mieszkała i tworzyła właśnie w „Romanówce”. Uważam, że nie powinno się wykreślać z pamięci krynicznan — i nie tylko krynicznan — tej postaci, mimo, iż u schyłku swego ponad 90-letniego życia została prawie zapomniana.

Dlatego proponuję, by w odrestaurowanej „Romanówce” przeznaczyć jedną salę dla stałej ekspozycji jej obrazów.

MAREK KNOPKIEWICZ
Kostrzyn Wielkopolski

Kiedy owce powrócą na tatrzańskie hale

Zakłada się, że pogłowie owiec w Polsce powinno w roku 1985 osiągnąć około 5,5—6,5 miliona sztuk. Będzie to jednak możliwe tylko pod warunkiem stałego wzrostu hodowli tych zwierząt. Czy rzeczywiście istnieje jak temu warunki?

Góralce podhalańscy napotykać na coraz większe kłopoty w letnim wypasie owiec. Nowosądecki kierdeł liczy obecnie ponad 150 tysięcy sztuk i województwo stało się już dla niego za małe. Wypasy w Tatrzańskim Parku Narodowym przeszły do historii; w roku 1976 wyrzucono podhalańskie owce również z Bieszczadów, choć bacowie nasi uważają, że bieszczadzkie tereny nie są w pełni wykorzystane i miejsce dla naszych owiec znalazłoby się tam jeszcze sporo.

Pozostały więc Sudety. Ale wypasy w tym rejonie — ze względu na koszty transportu i inne trudności organizacyjne — nie mogą być długofalowym rozwiązaniem, zwłaszcza przy założeniu, że do roku 1985 pogłowie owiec w Nowosądeckim sięgnie czterech milionów sztuk.

Co tedy robić? Szukać nowych terenów wypasowych po całej Polsce, czy też myśleć o przygotowaniu własnych? Dlatego bacowie podhalańscy uporczywie występują od lat do władz z postulatem, aby przywrócić pasterstwo na halach i polanach tatrzańskich.

Jeszcze przed kilku laty tereny tatrzańskie należały do kilkuset właścicieli, którzy wypasali tu każdego roku do 20 tysięcy owiec. Teraz hale są puste, za to — o, ironio — w samym

centrum Zakopanego, na Równi Krupowej wypasa się 300—400 owiec w celu... urozmaicenia krajobrazu!

Jak widać nie chodzi więc tylko o racje ekonomiczne. W Tatrach bez owiec jest smętnie i ponuro. Trzy wieki tatrzańskiego pasterstwa wywarły swoje trwałe piętno na tutejszej tradycji i kulturze, z niego wyrosły obrzędy ludowe, zwyczaje. Czy mają one pozostać tylko reliktem minionej epoki?

W sprawie powrotu owiec na tatrzańskie hale padło już tak wiele głosów, że właściwie w tej kwestii trudno dodać coś nowego. Przeważają opinie o konieczności przywrócenia pasterstwa w Tatrach. Kiedy zapadną decyzje?

JAN SIUTY
Witów

Przedszkola dla wsi

PP „Totalizator Sportowy” znaczną część swoich dochodów przeznaczają na budowę obiektów sportowych. Może mój pomysł wyda się trochę naiwny, ale zastanówmy się: czy nie warto byłoby zorganizować innej, ogólnopolskiej gry liczbowej lub loterii, z której dochód przeznaczony byłby na budowę przedszkoli, żłobków i tym podobnych placówek wychowawczych na wsi? Zależy to pytanie w chwili, gdy na wieś obrócone są z nadzieją całej Polski. Bo nie ma chyba takich środków, po które nie warto byłoby sięgnąć, by pomóc rolnikowi, między innymi podać. A wiadomo, że w tej sferze między miastem, a wsią istnieje prawdziwa przepaść...

ANTONI NAWROCKI
Krynica

Taksówkarskie „żnwa”

Od stycznia br. wzrosła liczba dni wolnych od pracy, zwłaszcza sobót. W związku z tym w dni poprzedzające nasila się ruch pasażerski na liniach PKP i PKS. Szczególnie przeciążone są kursy autobusów relacji Kraków—Nowy Sącz i Nowy Sącz—Kraków. W „sukurs” Państwowej Komunikacji Samochodowej przychodzą nowosądecki taksówkarze, dla których niedomogi PKS-u stwarzają możliwości dodatkowych, wysokich zarobków.

Stała „taksza” wynosi 150 zł od osoby, a więc przeszło dwukrotnie tyle, ile kosztuje bilet w pospieszonym autobusie. Ale w przedświąteczne dni zadania taksówkarzy rosną.

6 marca, powracając z głębi kraju, znalazłem się na dworcu PKS w Krakowie o godz. 12.30, gdzie dowiedziałem się, że bilety na wszystkie kursy w ciągu tego dnia zostały już wyprzedane. Natychmiast znalazło się jednak dwóch panów, obu znanych mi z widzenia taksówkarzy sądeckich, proponując przejazd taksówką. Kiedy spytałem się, ile ta przyjemność będzie mnie kosztowała, otrzymałem uprzejmą odpowiedź: „jak dla szanownego pana, tylko 250 zł, choć inni biorą więcej”. Niestety, byłoby to może propozycja do przyjęcia, gdybym niezaład do ludzi, szastających pieniędzmi.

Zbulwersowany zajęciem, jeszcze przez kilka minut obserwowałem dalsze zabiegi obu panów, poszukujących klientów, zadając sobie jednocześnie pytanie, czy nie psują oni opinii pozostałym kolegom, sumiennie świadczącym swe usługi mieszkańcom Nowego Sącza? Czyż wie o tych praktykach

Leży przede mną książka wydana w 1941 roku w Krakowie pt. „Neu-Sandez und das Neu-Sandez Land Ihre deutsche Vergangenheit und Aufbauarbeit (1230—1940)” — „Nowy Sącz i nowosądecki rejon, (kraj) jego niemieckie pochodzenie i odbudowa w latach 1230—1940” opracowana przez profesora uniwersytetu dr Rudolfa Kesselringa z przedmowa hitlerowskiego burmistrza Nowego Sącza dr Friedricha Schmidta. Te dwa doktoraty Rudolfa Kesselringa są wyraźnie na okładce książki uwypuklone. Chciałoby się rzec: jak na uragowisko — ludzi z tytułami naukowymi, a więc tacy, od których wymaga się szczególnej godności, powagi i rozsądku — na usługach szaleńczej szwinstwiny polityki Hitlera! Co bowiem starają się uzasadnić autorzy tej pseudonaukowej pracy wzbogaconej zdjęciami i doku-

SLADEN naszych publikacji

Przyczynek do historii Nowego Sącza

mentami historycznymi? Tylko to, że... Nowy Sącz i okolice zawdzięczają swój byt, rozwój i kulturę Niemcom od stuleci tu zamieszkującym. Oto ich dowody:

Na stronach 65—70 dwaj panowie doktorzy nauk podają w oparciu o archiwum miasta Nowego Sącza nazwiska rodów niemieckich zamieszkałych od stuleci w Nowym Sączu i okolicach. Znajdujemy tam m. in. rodzinę Kromerów (Kromer Georg, Kromer Hans i Kromer Markus).

Na stronie 73 znajdujemy tablicę chronologiczną, z której wynika m. in., że w roku 1090 miała miejsce lokalizacja na prawie niemieckim miejscowości Tropsstein (Tropsztyn), w 1230 r. miejscowości der Burg Ritter (Rytro), w 1252 r. założenie Neumark (Nowy Targ), w latach 1270—1280 miasto Alt-Sandez otrzymało prawo magdeburskie, w roku 1292 król Wenzel II ustanowił na prawie niemieckim Nau Sandez (Nowy Sącz), w roku 1340 na prawie niemieckim Kazimierz Wielki lo-

kalizuje miasto Grünberg (Grybów) itd.

Na stronie 31 autorzy stwierdzają, że przez stulecia następowała polonizacja tych pierwotnych niemieckich nazw: np. Grünberg zamieniono na Grybów, Görlitz zamieniono na Gorlice, Zornstein na Czersztyn, Sonnenscheinhof na Januszowa, Ilmenau na Limanowa, Mühlstein na Melsztyn, spolszczono Ritter-Burg na Rytro, Schönburg na Szymbark, Sandez-Alt na Stary Sącz, Sandez-Neu na Nowy Sącz itd.

Dokonywano także polonizacji niemieckich nazwisk, np. Lang zamieniono na Długosz, Veit Stoss na Wit Stwosz itd. (s. 31).

Nie potrudzili się jednak dwaj utytułowani autorzy, by zauważyć, dlaczego tak niewiele jest owych „niezbitych” dowodów niemieckości ziemi nowosądeckiej. Nie wystarczyło im też czasu na odbudowę owej niemieckości, bowiem „Tysiąclecie” hitlerowska III Rzesza upadła w cztery lata po ukazaniu się „dziela” doktora Kesselringa.

MARIAN JANIGA

OZYTELNIKOWSKI

W kolejce po bilet

Szczęśliwi ci, którzy otrzymują bilety towarowe na cukier w macierzystych zakładach pracy. Dużo trudniej jest nam, rencistom i emerytom. W Krynicy jedynym kompetentnym urzędem do wydawania biletów towarowych jest Wydział Przenysłu i Handlu Urzędu Miasta i Gminy. Nic więc dziwnego, że pod urzędem ustawiają się lasiemcowe kolejki starszych, schorowanych ludzi, którzy czasami muszą wędrować całymi kilometrami do wsoomnianej instytucji.

Czy nie prostszym rozwiązaniem byłoby rozprządzenie kartek przez Zakład Gospodarki Mieszkaniowej w Krynicy i administrację domów?

STANISŁAW KOZAK
Krynica

Jeszcze o „Krajoznawstwie dla analfabetów“

Chciałbym dorzucić kilka uwag do polmiki, toczony na łamach „Dunajca“ przez M. Broniowską, A. Kroha, J. Lesniaka i J. Kosiba. Chodzi oczywiście o mapę-curiousum pt. „Województwo Nowosądeckie“. Autorzy tego „wokopomnego“ dzieła w wielu przypadkach oparli się na danych nieścisłych, dezaktualizowanych, bezkrytycznie zaczerpniętych ze starych przewodników. Udowodnić to na przykładzie Zegiestowa.

Pierwsze wzmianki o miejscowości nie pochodzą z 1629, lecz z 1573 roku, kiedy to biskup krakowski Franciszek Krasiński wydał kmieciowi Andrzejowi Hawryle Juraskowskiemu zezwolenie na założenie wsi Zegiestów na pustym polu, zwanym dawniej „Bugi Łąg“. Była tu kiedyś wieś, założona jeszcze w połowie XIV wieku przez Kazimierza Wielkiego, która podupada i opustoszała, lecz nazwa jej przetrwała z górą 200 lat.

Dalej: nie ma w Zegiestowie strzeżonego kapielska na Popradzie, a od czasów II wojny światowej nie eksploatuje się pokładów borowinowych; zarówno również kuracje borowinowa. Myślę też, że nie byłoby od rzeczy pisać kilku ciekawostek z historii Zegiestowa. Udrowisko tutaj powstało w 1846 roku, założone przez balneodermatologa z Muszyny, Ignacego Medwedkiego. W roku 1876 dotarła tu linia kolejowa. W 1908 zbudowano wzdłuż jej szlaków karniażysko kąpieliskie, którego projektantem był znany architekt, Jan Zawiejski, ten sam, który projektował Teatr im. Słowackiego w Krakowie, Stary Dom Zdrojowy i kościół parafialny w Krynicy. Zegiestów stał się także posiadaniem pomnika Juliusza Słowackiego, ufundowanego w roku 1909 dla uczczenia 100 rocznicy urodzin wieszcza.

W Zegiestowie „Na Eopacie“ znajduje się sanatorium „Wiktor“, przeznaczone również dla górników i hutników. Budynek ten wzniesiono w roku 1926 Spółdzielnią Pracowników Naftowych jako hotel-pensjonat i jest po dziś dzień najbardziej luksusową budowlą okresu międzywojennego. Umiejscowienie wkomponowany w krajobraz, stanowi jedną z atrakcji Zegiestowa. Przedstawiam powyższe fakty, mając nadzieję, że zostaną one uwzględnione w następnych, skorygowanych wydaniach mapy-panoram „Województwo Nowosądeckie“, jako przyczynek do historii Nowosądeckich i praktyczna informacja dla turystów.

WINCENTY SPIECHOWICZ
Zegiestów

Red.: Artykuł Antoniego Kroha pt. „Krajoznawstwo dla analfabetów“ oraz polemika z red. Marią Broniowską z Krajowej Agencji Wydawniczej spowodowały lawinę listów do redakcji. W ciągu ostatnich tygodni zamieściliśmy wiele z nich; korespondencja p. Wincentego Spichowicza koniecznym wymiarem poglądów w tej sprawie, kierując się humanitarną zasadą, iż nie należy kopać leżącego.

Najdłuższe kolejki

Doczekaliśmy się wreszcie zapowiedzi skutecznego działań rządowych w zakresie walki z alkoholizmem. W najbliższym czasie Rada Ministrów wprowadzi w życie szereg doraźnych przedsięwzięć, które powinny zdecydowanie ograniczyć konsumpcję alkoholu.

Opracowuje się także program długofalowej polityki antyalkoholowej, projekt nowej ustawy. Zastąpi ona tę z 1956 roku, która zupełnie nie zdążyła egzaminu.

Zachodzi pałaca konieczność przeciwstawiania się dalszemu rozpinianiu i alkoholowej degeneracji znacznego odłamu naszego społeczeństwa, a w tym — niestety — również młodzieży i nieletnich. Systematycznie wzrasta bowiem spożycie, które w 1980 roku tylko w wódkach czystych i gatunkowych (bez wina i piwa), w przeliczeniu na alkohol 100 proc, przekroczyło 5 litrów na osobę. Nic też dziwnego, że ilość „zawianych“ na naszych ulicach, zwłaszcza z dni wyplat, jest niepokojąca.

Nieudrządz ziemniaków w roku minionym spowodował — na szczęście — ograniczenie produkcji i dostaw wódek. Wywołało to prawdziwą satysfakcję niektórych ludzi, że wreszcie — po nader „obfitych latach“ — towaru tego zaczęło brakować. Zenująco wygląda tłum ludzi, napierający na oba sklepy monopolowe przy sądeckim rynku. Zopotrzeżnienie naszych placówek w artykuły pierwszej potrzeby, szczególnie żywnościowe jest złe. Brakuje wielu podstawowych asortymentów, ale kolejki przed sklepami sprzedającymi „wodę ognistą“ są — niestety — najdłuższe...

ZYGMUNT BŁASZAK
Nowy Sącz

„Za co mnie ukarano?“

W odpowiedzi na list ob. Janiny Goryl, zam. w Krynicy, ul. Zróżniana 18 opublikowany w „Dunajcu“ dnia 1 marca br. pt. „Za co i e ukarano?“ — Komenda Rejonowa Straży Pożarnej w Krynicy wyjaśnia:

17 stycznia br. sekcja tutejszej jednostki dokonała oddymienia pomieszczeń, zajmowanych przez ob. J. Goryl wraz z rodziną. Przyczyną zadymienia było obsuniecie się rury łączącej pięć grzewczych z przewodem kominowym. Po usunięciu przyczyny wyostawiania się dymu do wnętrza pomieszczeń mieszkalnych poinformowano poszkodowaną o zagrożeniu niebezpieczeństwem, jakie stwarzają uszkodzone urządzenia ogrzewcze, jak również o tym, że korzystanie z urządzeń ogrzewczych, stwarzających zagrożenie jest sprzeczne z rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych z dnia 2 maja 1969 r. w sprawie zabezpieczenia przeciwpożarowego budynków, a użytkowanie ich wbrew wspomnianemu rozporządzeniu jest zagrożone karą grzywny w wysokości do 500 zł. Jednak biorąc pod uwagę sytuację materialną Obywatelki odstąpiono od wymierzenia grzywny.

Uważamy, że list ob. J. Goryl jest kolejnym etapem w podejmowanych przez autorkę pisma działaniach, zmierzających do otrzymania mieszkania, tym bardziej, że w dniu 28 lutego br. ob. J. Goryl zwróciła się z prośbą do tutejszej Komendy o wydanie decyzji z zakazem użytkowania wspomnianego pieca, co — jej zdaniem — miałoby ułatwić przydział mieszkania.

mjr. p.o. ZBIGNIEW RACZEK
Komendant Rejonowy
Straży Pożarnej

Red.: Tym oto sposobem redakcja nasza wplątana została w intrygę, którą wreszcie zdemaskował komendant Straży Pożarnej w Krynicy. Działania ob. Janiny Goryl mają bowiem na celu otrzymanie mieszkania, co — jak wynika z tonu pisma pana majora półżartnictwa Zbigniewa Raczka — jest

czymś wiele nagannym. Coż tedy robi dzielny strażak, by pokrzyżować nienicę knowania obywatelki Goryl? Najpierw zakazuje jej używać pieca (pod karą 500 zł); kiedy jednak zainteresowana żąda stwierdzenia tego faktu na piśmie — zarzuca jej w liście do redakcji, iż czyni tak dlatego, by zdobyć kolejny argument w walce o godziwe mieszkanie. Mieszkanie, które się jej — samotnej matce z trzema dziećmi — jak najbardziej należy!

Sprawa Ob. Janiny Goryl już po raz trzeci trafia na łamy naszego pisma. Po dziś dzień nie dowiedzieliśmy się, co ma do powiedzenia w tej kwestii naczelnik miasta i gminy Krynica. A szkoda...

Pies-postrach

Sprawa wygląda na błahostkę i może dlatego nikt nie chce się nią poważnie zająć, tymczasem nas kosztuje naprawdę dużo zdrowia.

Mieszkamy za wsią, w górach, skąd nasze dzieci dzień w dzień schodzą do szkoły, a i my, starsi, nieraz musimy zejść do wsi, choćby do sklepu. Po drodze jest gospodarstwo, którego właściciel chowa dużego wilczura. Pies zachowuje się jak pies, a nie jak wilk, buzuje po całej okolicy — zawsze bez kagańca, atakuje inne psy, zżera o bejscejkach karmie przeznaczoną dla drobiu, i tak dalej. Na nasze skargi właściciel wzdusza ramionami, twierdząc, że wilczur, choć wielki, jest łagodny jak baranek. Nawet gdyby tak było — coż z tego, skoro nasze dzieci panicznie się go boją i kiedy spotykają go na swojej drodze, omijają z daleka, nadekładając spory kawał drogi.

Rozmawialiśmy już z sołtysem — bez skutku; w Urzędzie Gminy obiecano nam, że przywołają właściciela psa do porządku — na obietnicy się skończyło...

Czy istnieje jakieś zarządzenie, które zmusiłoby właściciela do trzymania psa na łańcuchu, tak, aby wreszcie przestał być postrachem ludzi?

FRANCISZKA I JÓZEF MORANSCY
Kamionka Wielka

Red.: Istnieje przepis, regulujący takie sprawy, jak opisana powyżej. Jest nim art. 77 kodeksu wykroczeń (Dz. U. Nr 12 poz. 114 z 31 maja 1971 r.). Brzmi on tak: „Kto nie zachowuje zwykłych lub nakazanych środków ostrożności przy trzymaniu zwierzęcia, podlega karze grzywny do 500 zł lub karze nagany“. Środki ostrożności, o których wspomina powyższy artykuł kodeksu wykroczeń, mają na celu niedopuszczenie do sytuacji, w której zwierzę mogłoby stać się niebezpieczne dla otoczenia.

Karę grzywny lub nagany wymierza kolegium do spraw wykroczeń przy naczelniku gminy (w tym wypadku gminy Kamionka Wielka, gdzie należy złożyć skargę).

Dodatek za wysługę lat

Od roku 1955 pracowałem w leśnictwie na stanowisku leśniczego. W 1977 roku zmieniłem — ze względów rodzinnych — miejsce zamieszkania i pracę, przechodząc za obopólnym porozumieniem stron do WSS „Sporlem“ — Oddział Krynica. Przerwa w pracy trwała zaledwie jeden dzień. Czy przysługuje mi dodatek za wysługę lat? Otrzymałbym go jako leśniczy, natomiast WSS — mimo wielokrotnych moich prób — odmawia mi jego wypłacenia.

ZENON GURBA
Krynica

Red.: Sprawa dodatków stażowych uregulowana jest w protokole dodatkowym nr 30 z 11 sierpnia 1980 r. do układu zbiorowego pracy dla pracowników zatrudnionych w spółdzielczości

spożywców z 27.XII.1974 r. Zawarte tam przepisy stanowią, iż dodatki takie przyznawane są za nieprzerwaną pracę w resorcie handlu i usług. W innych przypadkach — dyrektor oddziału WSS może przyznać taki dodatek osobie, która uprzednio pracowała w innym resorcie — jeżeli pracownik jest niezbędny dla WSS.

Kto mnie weźmie w obronę?

Jestem emerytką mam 77 lat, posiadam domek, składający się z jednego pokoju i kuchni. Przed dwudziestu laty mój syn ożenił się, a że nie miał gdzie mieszkać — wraz z żoną zapewnili mu u siebie lokum. Wyprowadziłam się do kuchni, pozostawiając młodym parom; tymczasem syn zaniechał jakichkolwiek starań o własne mieszkanie. Od tego czasu moje życie stało się piekłem: synowa przesładowała mnie na każdym kroku, obraza wyzwiskami, namawia wnuki, by mnie poniewierali, ostatnio nawet pobita mnie, co mogę udokumentować zaświadczeniem lekarskim. Doszło do sprawy karnej: synowa została skazana na 3 miesiące pozbawienia wolności z zawieszeniem, ale sytuacja nie uległa zmianie. Co mam robić? Jestem stara, schorowana kobieta, która ma coraz mniej siły, by walczyć o swój spokój.

Czytelniczka
(nazwisko i adres znane redakcji)

Red.: Niestety — pozostaje jedynie droga sądowa. Jeżeli nie miałeś jeszcze okres, na jaki orzeczono zawieszenie kary, należy zwrócić się do sądu, który wydał wyrok w sprawie przeciwko synowej i który może zarządzić wykonanie zawieszony kary.

Czy otrzymam wyższą rentę?

Mam 21 lat. Kilka lat temu, podczas zajęć szkolnych uległem wypadkowi. Komisja lekarska stwierdziła u mnie 47 procent inwalidztwa. Otrzymałem rentę w wysokości 920 złotych kwartalnie. Ojciec przestał pobierać zasiłek rodzinny, na mnie, ponieważ uznano iż jestem na własnym utrzymaniu.

Z powodu inwalidztwa nie mogę podjąć pracy zawodowej. Proszę więc o odpowiedź, czy przewidziane są podwyżki takiej rent, jak moja? Za 300 złotych miesięcznie nie sposób przeżyć!

LEON POPARDOWSKI
Stadła 3
gmina Podegrodzie

Red.: Z treści listu wynika, iż nie chodzi tu o rentę inwalidzką, wypłacaną przez ZUS, a o odszkodowanie wypadkowe przyznane przez sąd. Tego typu świadczenia nie są objęte przeprowadzoną aktualnie regulacją rent i emerytur. Istnieje jednak możliwość wystąpienia na drogę sądową o podwyższenie świadczenia; w tym wypadku właściwym będzie Sąd Rejonowy w Nowym Sączu.

Bez komentarza...

8 marca, w dniu naszego święta, przeprowadziłam prywatny eksperyment. Autobusem linii „7“ przejechałam całą trasę, by policzyć uśmiechnięte twarze pań. Dostrzegłam zaledwie dwie: jedna — matki z dzieckiem, druga — młodej dziewczyny ze swym chłopakiem. Pozostałe — to twarze chmurne, niespokojne, zatroskane. „Świąteczny“ klimat stwarzało tylko kilku panów, pod dobrą dachą, dzierżących wymięte bukiety kwiatów. Dlatego przestałyśmy się uśmiechać? Panowie, pomyślcie nad tym!

URSZULA KUPEROWA
Nowy Sącz

S L A L O M

ANDRZEJ BACHLEDA: Czego chcemy w sprawie wyciągów w Tatrach? Zadnych szaleństw. Trzeba więc przede wszystkim wyjaśnić pewne nieporozumienia. Redaktor Kowalik poruszył w swoim liście problem pochłaniania przez wyciągi tak potrzebnej dziś energii. Otóż zapotrzebowanie ciężkiego wyciągu wynosi 150 kW; to doprawdy nie jest dramatyczne obciążenie. Była również przez niego poruszona sprawa TANAP — parku po stronie słowacko-

zagospodarowania Tatr. Projekt tego planu przechodził różne burzliwe koleje losu. Doszło w końcu do powstania Uchwały Rady Ministrów nr 157, która ostatnio została anulowana w części ustępu 2 punkt 2 i 3 w ostatniej Uchwale RM nr 138, czyli w tym fragmencie, który dotyczył kolejek w Tatrach. Bardzo dobrze się stało, bo narzeczcie nie będzie decyzji wyprzedzających powstanie całościowego planu zagospodarowania. Aż do chwili za-

twierdzony plan przestrzennego zagospodarowania TPN.

Prawda, że tak działano, aby Uchwała nr 157 w sprawie rozwoju województwa nowosądeckiego była podjęta przed zatwierdzeniem planu zagospodarowania TPN. Myślę, że jeżeli są wyznaczone tereny do narciarstwa zjazdowego, to trzeba w Uchwale Rady Ministrów określić wyłącznie ich powierzchnię. Nie należy się wdawać w bijatykę, gdzie ma być jaki wyciąg. Gdy zostanie wyznaczony teren, trzeba określić jego pojemność (w sensie maksymalnego zagęszczenia narciarzy), a specjaliści niech określą ilość i rodzaj kolejek wyciągowych. Tymczasem stało się inaczej, wbrew rozsądkowi, w Uchwale nr 157, po czym w ubiegłorocznej Uchwale nr 138 pojawił się punkt orzekający, że w aneksie do Uchwały nr 157 w sprawie dalszej realizacji zadań województwa nowosądeckiego w dziedzinie leśnictwa uzdrowskiego, turystyki i wypoczynku w latach 1981—90 skreśla się punkt: „główne problemy zagospodarowania Tatrzańskiego Parku Narodowego”. Jest to wynikiem kolejnego przegięcia — tym razem w kierunku ortodoksyjnej ochrony środowiska.

Mam tu pismo, które Przewodniczący Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu skierował do profesora Zygmunta Rybickiego, podsekretarza stanu w Urzędzie Rady Ministrów, w związku z Uchwałą nr 138. Zawarte jest w nim następujące stwierdzenie: „W przedstawionym pod obrady Rady Ministrów projekcie tej uchwały nie figurował paragraf 6 ustęp 2, dotyczący skreślenia punktu 1.3. w rozdziale drugim załącznika do Uchwały nr 157/79. Projekt został wcześniej uzgodniony ze wszystkimi zainteresowanymi resortami i na posiedzeniu Rady Ministrów przyjęty bez uwag. Zatem dopisanie tego ustępu jest nieformalne i niezrozumiałe.”

JAN PARCZEWSKI: ???

STANISŁAW SŁODYCZKA: Właśnie. Pan nie zna jeszcze, oczywiście, pisma które tu cytuję. Dalej czytamy między innymi: „Informuję, że ze względów merytorycznych konieczne jest utrzymanie ustalonego w Uchwale nr 157 zagospodarowania TPN w urzędzeniu służące dla masowej kultury fizycznej, rekreacji i sportu, to jest: budowy wyciągów narciarskich podporowców Kalatówki — Suchy Żleb, w rejonie Goryczkowej i Świńskiego Kotła, Gąsienicowa — Beskid, Mała Polanka Kuźnicka, wyciąg sezonowy w rejonie Kondratowej”. (tu mój komentarz: Kondratowa nie jest przewidziana w projekcie do celów narciarstwa zjazdowego), „budowy i modernizacji tras narciarskich na Cyrhli i pod Regłami, sezonowe zagospodarowanie tras narciarskich w rejonie Kondrato-

wej oraz — w zakresie uzgodnionym pomiędzy Ministerstwem Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego a GKKFIS — budowy centralnej bazy technicznej Grupy Tatrzańskiej GOPR, siedziby naczelnictwa GOPR, budowy stacji terenowych w rejonie Gubałowski i Bukowiny Tatrzańskiej oraz dyżurek GOPR. Dla prawidłowej obsługi ludzi uprawiających masową kulturę fizyczną konieczne jest także równoległe podjęcie decyzji przez Ministerstwo Komunikacji, Główny Komitet Turystyki i Urząd Wojewódzki w Nowym Sączu w zakresie, który został wymieniony w skreślonym punkcie 1.3. rozdział drugi załącznika do Uchwały nr 157 RM. Przedstawiając powyższe, proszę o dokonanie niezbędnych sprostowań w Uchwale nr 138 RM. Podpisał: Marian Renke”. Z tego widzimy, że wektor w lewo, wektor w prawo i zaczynamy się redukować. Znow te same stare błędy. A trzeba się wreszcie dogadać — może na najbliższym spotkaniu?

Jeśli Zakopane ma sensownie służyć społeczeństwu, to musi pełnić swoje funkcje turystyczno-rekreacyjne. Nie wiem, czy tereny narciarskie powinny sięgać aż po Kondratową; chcę jednak przypomnieć, że bardzo mądry i znający się na Tatrach człowiek, profesor Kruczała, opracował plan dla TPN (Uchwała nr 172 z roku 1967), w którym przewidziane są pewne tereny dla narciarstwa nawet w Chochołow-



kiej — i jego wzorowych rozwiązań. Dlaczego tam jest „lepiej”? Dlatego, że tamte tereny tatrzańskie, czterokrotnie większe od maszyc, są usytuowane południowo (poza Tatrami Zachodnimi i Bielańskimi) i naśnieżone o wiele gorzej; przykładem choćby sezon aktualny. Nasi sąsiedzi nie inwestują więc w narciarstwo po prostu z tego powodu, że nie ma u nich na czym jeździć. Przygotowana przed wielu laty trasa w Tatrzańskiej Łomnicy nie nadaje się na ogół do zjazdów z powodu braku śniegu. A co do sprawy tradycji narodowych, o których wspomina redaktor Kowalik, powiem: tak, park narodowy ma szczytne tradycje. Ale równe tradycje ma narciarstwo, i to wcale nie wyczynowe, tylko to szeroko pojęte.

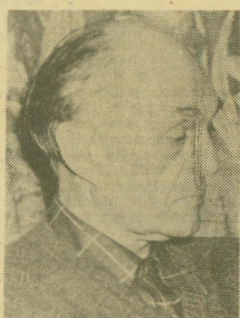
JAN PARCZEWSKI: Myślę, że mówić o kolejkach jeszcze nie pora, ponieważ nie ma planu przestrzennego

twierdzenia projektu tego planu nie powinno się nie w Tatrach robić.

STANISŁAW SŁODYCZKA: Tutaj się urodziłem. Jestem leśnikiem i poniechanym ochroniarzem (dziękuję, zaiste, panu Ministrowi Leśnictwa za to, że zrezygnował ze mnie jako członka Rady Parku). Redaktor Kowalik dosyć ostro rozleźlił gry i gierki wokół Tatr, to, co się w nich robi (a co oznacza czasem nicnierobienie) i — w domyśle — także Uchwałę nr 306 w sprawie rozwoju Zakopanego w latach 1972—80. Jej konsekwencją jest Uchwała RM nr 138 z 11 grudnia 1980, która w sposób nieterminowy określa funkcjonowanie miasta. Pozwól mi wyrazić głęboki żal, że nie ma pojednania między Zakopanem a Parkiem Narodowym, między obrońcami przyrody a obrońcami zabytków; wielka szkoda. Tu musi być zgoda. Jest też wielkim błędem, że do tej pory nie został za-



WITOLD PARYSKI: — Musimy patrzeć na potrzeby ogółu, a nie tylko jednej grupy.



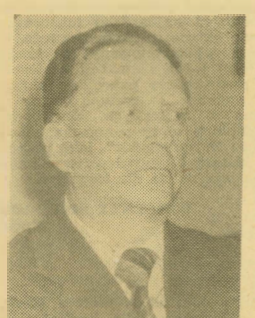
TADEUSZ WILGAT: — Parkom narodowym w Polsce grozi wielkie niebezpieczeństwo.



STEFAN DZIEDZIC: — Od zdrowia społeczeństwa, od sprawiania kultury fizycznej zależy pomyślność kraju.



JERZY IWASZKIEWICZ: — Czy ludziom, jeżdżącym w rejonie Kasprzego stworzymy ludzkie warunki?



JERZY ZEMBRZUSKI: — Władza TPN musi być mocna, aby mogła decydować zarówno o sprawach przyrody, jak i narciarstwa i turystyki.

W K O T L E

Te nr 138 na wniosek komisji sejmowej (a więc — nie na wniosek Parku). Pewna grupa wysoko postawionych osób — zaangażowanych w sprawy ochrony przyrody — spowodowała, że sprawą zajęła się komisja sejmowa i wystosowano odpowiednie pisma do rządu. Zaznaczam, że moim zdaniem nie jest prawidłowe wykreślanie z planu mocą Uchwały nr 138 różnych urzędzeń, które są doprawdy w Tatrach konieczne: oczyszczalni, bazy GOPR. Schroniska zanieczyszczają nam potoki już od źródeł; teraz rozwiązanie tego problemu zależeć będzie tylko od decyzji tutejszych władz terenowych, które w ramach funduszu, określonego Uchwałą nr 138 (rocznie ponad 60 milionów złotych) znajdują pieniądze na urządzenia sanitarne dla PTTK, albo ich nie znajdując...

Jerzy Iwaszkiewicz: Z pisma prezesa Renke wynika, że punkt 6 został właściwie dopisany do Uchwały nr 138. Z wypowiedzi dyrektora Niedzielskiego — że wyciągi zostały skreślone na wniosek jednej z komisji sejmowych...

Leon Niedzielski: Tak słyszałem. Ze to wyszło z Sejmu. Nie pytałem, która komisja.

Jerzy Iwaszkiewicz: Pozwól sobie wobec tego wyrazić zdziwienie że pan jako dyrektor TPN, człowiek, który z tak wielkim zaangażowaniem broni Tatr od długiego już czasu, nie zapytał dokładnie, kto w Sejmie wystąpił i na kogo pan może się powołać, aby mieć argument w rękę. Czy może — w takim razie wiadomo coś panu posłowi Dziedzicowi?

Stefan Dziedzic: Nie znam ustaleń żadnej komisji sejmowej ani dezyderatów czy decyzji w sprawie anulowania punktu 1.3. Uchwały nr 157; możliwe, że coś takiego było, ale o tym nie wiem. Na pewno posłowie wypowiedzieli się w sprawie ochrony przyrody; ja też jestem za ochroną — ale, powtarzam, żadnych ustaleń w tamtej sprawie nie znam.

Witold Paryski: Rozumiem, że stało się tak dlatego, ponieważ do Uchwały nr 157 wprowadzono aneks za sprawą naszego ówczesnego wojewody. A kiedy doszło do anulowania wspomnianych paragrafów w aneksie — jak to zwykle — dziecko wylano razem z kąpielą: skreślono na przykład budowę oczyszczalni.

Pierwszą organizację narciarską na terenie Zakopanego stworzył między innymi Mariusz Zarłuski, wielki obrońca przyrody. Podobnie było w dalszych latach: dalo się godzić interesy narciarstwa i ochrony przyrody, ci sami ludzie działali na obu polach. Może dziś się też da pogodzić, choć w dyskusji o Tatrach słyszymy tyle demagogii? Może się da, ale sytuacja jest niepokojąca.

Jan Parczewski: Jako przedstawiciel „ochroniarzy” chciałbym powiedzieć, że poziom sportu nie zależy od ilości urzędzeń. Obecny tu pan Andrzej Bachleđa nie zawiadzcza swoich osiągnięć Tatrów, tylko Alpom i innym góróm. Mamy dużo skoczni i tras biegowych, a jakie osiągnięcia? Bardzo

slabe. A zatem nie urządzenia decydują, tylko odpowiednie wychowanie zawodników. To jest argument przeciwko przesadzie z kolejkami w Tatrach.

Ponadto są jeszcze zastrzeżenia natury technicznej: projekty na mapie — krescorka i kilka punkcików — wyglądają niewinnie. Ale gdy dochodzi się do projektu szczegółowego, do wzięcia pod uwagę przepisów bhp, przeciwpożarowych czy choćby przepisów FIS, to wtedy się okazuje, że konieczne są urządzenia towarzyszące, które muszą spowodować zniszczenia martwej i żywej przyrody na dużej powierzchni. Dlatego uważam, że powinniśmy dać sobie na razie spokój z kolejkami...

Jerzy Iwaszkiewicz: Przepraszam, to jest zdanie pana, czy Ligi? **Jan Parczewski:** Zakopiański Ligi Ochrony Przyrody. Władze sporowudę chcą w możliwie najwyższym stopniu udogodnić narciarzom jeżdżenie z góry. A przecież narciarstwo powinno polegać na wysiłku, na zdobywaniu sprawności fizycznej. Jeśli człowiek będzie tylko jeździł, to nigdy się nie nauczy porządnie jeździć, bo nie będzie miał kondycji.

Jerzy Iwaszkiewicz: Kiedy pan ostatnio był na nartach?

Jan Parczewski: Ciągłe jeżdżę na biegówkach.

Jerzy Zembrzusi: Równie dobrze można spytać, kiedy ktoś ostatni raz wachał kwiatki...

Jerzy Iwaszkiewicz: Nie chodzi o sposób pytania, lecz o sens. Nie jesteśmy w końcu gronem zaproszonych na koleję do królowej angielskiej i nie musimy się bawić w dusery. Uważam, że pytaniem zasygnalizowałem pewien typ niezrozumienia spraw narciarstwa zjazdowego...

Stefan Dziedzic: Są dwa rodzaje kondycji fizycznej: ta nabywana przez uprawianie sportów różnego rodzaju oraz kondycja specjalistyczna, w wypadku narciarstwa — kondycja zjazdowa (skoro jest tu obecny pan Bachleđa, powinniśmy tu usłyszeć w zasadzie od niego, ale może już ja powiem, jako trener i również zapalony narciarz). Obecnie zawodnicy wysokiej klasy poza kondycją ogólnorozwojową muszą zdobyć wytrzymałość, osiągalną tylko przez intensywne zjazdy. To jest warunek konieczny.

Andrzej Bachleđa: Tak, trzeba w tym miejscu znów wyjaśnić pewne nieporozumienia. Kiedyś jeździło się w spodniach gabardynowych, w miękkich butach i wiązaniach, które pozwalały ruszać stopą w każdym kierunku. Nie stosowano też żadnych smarów ani ślizgów plastikowych, wobec czego

podłożenie i zjeżdżanie wyglądało inaczej. Dziś przy ubraniach śliskich, obcisłych, izolacyjno-ciepłych, przy butach o sztywnych podeszwach i wiązaniach ściśle dopasowujących nogę do narty zjazdowej, nastąpiło całkowite rozdzielenie obu typów uprawiania narciarstwa; turystyka narciarską uprawia mniej więcej pięć procent ogółu, reszta jeździ. Ludzie tak wybrali. To jest ich przyjemnością i sytuacja nie zmieni się w każdym razie przez dziesięć najbliższych lat. Potrzebny jest więc wygodny transport do góry i trasa zjazdu. Jak ten zjazd wygląda, jest wynikiem przygotowania ogólnego i umiejętności amatora nart — ale to już oddzielna sprawa.

Są w życiu okazje, które przemijają bezpowrotnie. Być może, jest to argument śliski, na którym się potknę — ale nie mogę nie wspomnieć, że istniejący inżynier wywodzący się z Zakopanego, który aktualnie robi najlepsze kolejki krzeselkowe na świecie. Uznany jest przez władze amerykańskich parków narodowych za człowieka tak zaufanego i na tyle kompetentnego, że nie podważa się jego ekspertyzy: jeśli mówi, że w określonym rejonie można instalować wyciągi, to praktycznie nie ma oponentów. Otóż ten człowiek, Jan Kućczyński, zaproponował nam właśnie współpracę w Tatrach (wyciągi gdzie indziej go nie interesują, tu się wychował i temu miejscu chce coś dać). Realizuje właśnie wielki kontrakt we Francji w Val d'Isère i w Chamoin, zatem ma całą bazę sprzętową w Europie — i dlatego jest to okazja, oczywiście z punktu widzenia narciarzy, którzy mogą mieć najlepsze dziś na świecie urządzenia.

Nowoczesny wyciąg to taki, który zajmuje jak najmniejszą powierzchnię. Te u nas są potworkami (patrz Gorczykowa) i zajmują kilkakrotnie więcej miejsca od wyciągów, budowanych dziś na świecie. Myślę, że jest to bardzo ważne nie tylko z punktu widzenia wygody i bezpieczeństwa narciarzy, ale także ze względu na ochronę środowiska. Zatem zainteresujemy się Kućczyńskim, który — o ile jestem zorientowany — daje całą technologię, chce zaprosić polskich inżynierów do siebie, do Nevada, proponuje przeszkolenie pracowników przy montażu urządzeń, aby poszło to szybko — w kilka tygodni bądź miesięcy — i wyraża gotowość sprzedania nam wszystkich nieosiągalnych w Polsce części po kursie PKO. Chciałbym sobie siedzieć na takim krzeselku, jakie robi Kućczyński, i myślę, że nie tylko ja mam na to ochotę. Chciałbym siedzieć, patrzeć na to estetycznie ukształtowane żelastwo i być wygodnie wywołanym. Przypomnę, że już raz straciłmy okazję, gdy w latach sześćdziesiątych proponował nam swoje usługi — dwukrotnie — pan Pomagałski. Przypuszczam, że okazja aktualna już się za naszego pokolenia nie powtórzy.

ZA TYDZIEŃ, W DRUGIEJ CZĘŚCI DYSKUSJI: ● racje ekologiczne przedstawiają profesor Wilgał, który mówi o sytuacji parków narodowych, i doktor Paryski, który opisuje sytuację środowiska naturalnego w Zakopanem oraz zderza racje ogólnospołeczne z racjami narciarzy ● Jan Parczewski i Andrzej Bachleđa omawiają sprawę dopuszczalnego zagęszczenia amatorów nart w rejonie Kasprowego ● Jerzy Zembrzusi podkreśla nadrzędność spraw ochrony przyrody i konieczność wzmocnienia władzy TPN ● Stefan Dziedzic i Walenty Obrochta zastanawiają się, jak pogodzić interesy sportowców, potrzeby obywateli uprawiających kulturę fizyczną, racje mieszkańców Zakopanego i obowiązki poszanowania natury. **ZA DWA TYGODNIE:** uzgodnienie zasad, na jakich można oprzeć budowę nowych wyciągów w Tatrach.



LEON NIEDZIELSKI: — Możemy wszystko swobodnie rozważyć przy założeniu, że nie zaszkodzi się przyrodzie.

WALENTY OBROCHTA: — Ratując przyrodę w Tatrach nie możemy zaprzepścić innych tradycji: kulturowych i turystyczno-sportowych.

STANISŁAW SŁODYCZKA: — Trzeba wyznaczyć tereny dla narciarstwa zjazdowego, zatwierdzić plan, objąć ochroną tych terenów i wtedy zdecydować, jakie wyciągi.

JAN PARCZEWSKI: — Powinniśmy sobie na razie dać spokój z kolejkami.

ANDRZEJ BACHLEĐA: — Nie chcemy żadnych szaleństw. Lecz są okazje, które się już nie powtarzają...

OFERTA KULTURALNA

Bogate przedstawia się program imprez kulturalnych nadchodzącym miesiącu. Na VI przeglądzie Teatrów Regionalnych w Czarnym Dunaju (23-26.4) spotkają się amatorskie zespoły, działające w województwie nowosądeckim; w tym samym miesiącu przypomnieć, że tradycje wiejskich teatrów sięgają w naszym regionie ubiegłego stulecia.

Kolejną imprezą o randze wojewódzkiej będzie przegląd teatrów lalkowych w Nowym Sączu, połączony z wystawą lalki i scenografii.

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Nowym Sączu zaprasza również na II Przegląd Kupel Ludowych, który odbędzie się w dniach 4-5 kwietnia; zaprezentowany tu zostanie folklor muzyczny Łachów, Zagorzan, Podgorzan, gorali białych. Natomiast Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Targu i taniejzy oddział Związku Podhalan organizują 25-26 kwietnia VI Konkurs Kapel Podhalańskich.

W nowosądeckim salonie BWA — do 12 kwietnia eksponował będzie swe prace jugosłowiański artysta-malarz Ilija Kolarovic, natomiast od 14-go czynna będzie wystawa malarstwa turkmeńskiego. BWA w Zakopanem zaprasza na ekspozycję malarstwa, rysunku i rzeźby Stanisława Rodzińskiego, członka ZPAP Kraków, a Muzeum Tatrzzańskie — na wystawę rzeźby Jana Śmigajka.

W ramach XIV Nowosądeckich Dni Przyjaźni Polsko-Radzieckiej odbędzie się w dniach 21-25 kwietnia — cykl imprez, popularyzujących dorobek Kraju Rad; gościnnie występy zespołów regionalnych z ZSR, w wystawy, projekcje filmów, odczyty i wieczornice.

P.S. do informacji pt. „Nowosądecka Oferta Kulturalna” w numerze 5 „Dunajca” wkładki się przykry błąd. Oczywiście „Dni muzyki Karola Szymanowskiego” odbyły się w marcu, nie zaś jak podaliśmy — w styczniu br. Czytelników serdecznie przepraszamy.

Znamienny odzwiek obudziła poruszona w tej rubryce sprawa naszego korespondenta posługującego się godłem „Orle piórko”. Pan „Orle piórko”, stronnik odnowy szorstko rozumianej jako sposobność do wsadzania za kratki rozmaitych ludzi nie dość w nim budzących zaufanie, więc podejrzanych z góry, iż są zdrajcami lub złodziejami: dyrektorów, lekarzy, miastowych — oraz wspania im kijów, wtrącania ich do lochu itp. — posunął się ogromnie daleko, gdyż tak pojętej odnowy był skłonny w roli partnerów idealnych przydzielić Hitlera i pamiętnego na Podhalu „Ognia”. Zgłosiłem moje wątpliwości, w istocie nie do końca wierzyłem, że list pana „Orle piórko” jest autentyczny, że takie przeżywanie świata z tęsknotami ku Hitlerowi w ogóle może na serio zdarzyć się, co dopiero w ojczyźnie Hubala i Szarych Szeregów.

Czytelnicy, którzy na felieton zareagowali, podzielały moje stanowisko. Fragment listu do pana Juliana Stanisławskiego z Rabki: „Miałem zamiar na temat „odnowy” już nie zwracać głowy panu, ale po ostatnim „Dunaju” z 1 II 1981 zwróć w mnie się coś poruszyło. Najbardziej zabolalo mnie to, co napisał ten „Orle piórko”. W głowie ma się nie mieć, że są jeszcze w Polsce tacy ludzie, którzy mają „za wzór Hitlera” „Ognia” i wzywają ich „przekłete duchy na pomoc. Nie! Nam ich nie trzeba, nam sobie rade. [...] Nie czas na kije, lecz na uściski bratnie, bo Matka cierpi. [...] Dołączam swój głos i co ja myślę — nie wstydzi się co myśleć; podpisuje się nazwiskiem, nie pseudonimem”. A jak to zwykłe w ofiżet i zawsze pełnej ciepła korespondencji pana Stanisławskiego, obok listu były wiersze. W intencjach autora one także miały polemiczować z panem „Orle piórko”. Ze zaś tym razem omawiam tu nie tyle sztukę poetyczną pana Stanisławskiego, skromniutką przecież, co właśnie raczej jego intencje, więc urwyki przedrukowuję już bez szczegółowego komentowania. Z wiersza *Oto ja Matka*; początek i zakończenie:

Antoni Sitek

Wspomnienie o Marii Ritter

Maria Ritter była nowosądecką z krwi i kości. Tu urodziła się 11 listopada 1899 roku, tu ukończyła szkołę powszechną i 8-klasowe gimnazjum klasyczne, w roku 1919. Przez dwa lata studiowała historię sztuki na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, zaś na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie odbyła pełne studia artystyczne w zakresie malarstwa sztalugowego, grafiki artystycznej, technik ściennych oraz rzeźby. Jej nauczycielami byli prof. prof. Wojciech Weiss, Jan Wojnarowski, Hopliński i Xawery Dunikowski.

Ukończywszy studia w roku 1925, wyjechała do Paryża, gdzie pod kierunkiem Fernanda Légera i Emila Othona Friesza pogłębiała swą wiedzę malarską, równocześnie kopiując obrazy dawnych mistrzów — Leonarda da Vinci, Rembrandta, Diego Velazqueza, Joshua Reynoldsa.

Po powrocie z zagranicy urzędziła w swoim mieszkaniu na pierwszym piętrze „kamienicy Ritterów” w nowosądeckim Ryнку pracownię artystyczną, gdzie działała twórczo do końca życia. W latach dwudziestych i trzydziestych brała udział w wystawach grup „Niezależnych” i „Zwornika” w kraju i za granicą (Jugosławia, Szwecja). W roku 1934 odbyła podróż artystyczną do Włoch — dla pogłębienia studiów z zakresu malarstwa ściennego.

W okresie międzywojennym maluje Maria Ritter liczne obrazy o różnorodnej tematyce (akty, portrety, pejzaże, martwe natury), wykonuje polichromie kościołów w Rzeszowie, Łańcuchu, Mogilnie, stacje męki Pańskiej dla „Zdrojowego kościoła” w Zegiestowie oraz przeprowadza konserwację XV-wiecznej polichromii drewnianego kościoła w Dębnie Podhalańskim.

Podczas okupacji hitlerowskiej pracuje społecznie w Radzie Głównej Opiekuńczej — w sekcji dożywiania

wieźniów politycznych oraz przy przyjmowaniu transportów wysiedlonych Polaków, zdołając bezinteresownie sale zakładu dla bezdomnych dzieci. Po wywołaniu od roku 1945 bierze udział w pracach organizacyjnych Delegatury ZPAP w Nowym Sączu; w latach 1947-1949 jest jej przewodniczącą, radną MRN i członkinią Komisji Oświaty i Kultury, prowadzi społecznie Biuro Wystaw Artystycznych od momentu jego powstania w roku 1957, organizuje wystawy, służąc zawsze pomocą młodszym kolegom i adeptom sztuk plastycznych.

Ale przede wszystkim — maluje i maluje! Prace swe eksponowała na wystawach zbiorowych Oddziału ZPAP w Nowym Sączu w latach 1946, 1948, 1949, 1950, 1954, 1957, 1969, 1971, 1972, 1975 i 1976. W ramach prezentacji tzw. Grupy Czterech (wraz z Mieczysławem Bogaczykiem, Janem Dzięślewskim i Stanisławem Szafranem) wystawiała swoje prace w BWA w latach 1962, 1967 i 1971. Eksponowała również swe dzieła w Krakowie, Poznaniu, Warszawie, Radomiu, Szczecinie i Zakopanem.

Indywidualne wystawy artystyki odbyły się w nowosądeckim salonie BWA w maju 1955 roku (wraz z artystą malarzem Czesławem Elstetrem) oraz w lutym 1961 roku. Na tej ostatniej wystawie prezentowała Maria Ritter 38 obrazów olejnych, 3 gwasze, 11 rysunków kredką oraz 7 rzeźb i płaskorzeźb.

Z zakresu malarstwa ściennego wykonała artystyka w roku 1948 polichromie kościoła w Brzesku, przeprowadziła (wspólnie z innymi artystami sądeckimi) konserwację historycznych obrazów w nowosądeckim Ratuszu, wykonała polichromię zachrytyli kościoła św. Małgorzaty, kościołów w Witowicach i Jakubowicach, przeprowadziła konserwację zabytkowych obrazów kościelnych. Maluje także wiele obrazów o tematyce sakralnej — m. in. dla ko-

ścioła św. Kazimierza w N. Sączu i kościoła w Grybowie.

Maria Ritter otrzymała liczne odznaczenia, nagrody i wyróżnienia, m. in. Złoty Krzyż Zasługi, Medal X-lecia PRL, nagrody ministra kultury i sztuki, wojewody krakowskiego, nagrodę artystyczną Ziemi Sądeckiej, Złotą Tarczę Herbową Nowego Sączu. Była członkiem honorowym ZPAP, odznaczona złotą odznaką tego Związku.

Artystyka zmarła 25 marca 1976 roku w Nowym Sączu.

Pomysł utworzenia Galerii Marii Ritter właśnie w jej mieszkaniu, zrodził się w nowosądeckim Muzeum Okręgowym. Patronował przedsięwzięciu ówczesny dyrektor mgr Alojzy Cabala. Prezydent miasta przynal część mieszkania artystyki na lokal galerii, rodzina udostępiała meble, pamiętki osobiste i część obrazów, przeprowadzone zostały najkonieczniejsze prace remontowe i adaptacyjne, scenariusz opracowała mgr Maria Teresa Maszczyk. 17 lipca 1979 roku nastąpiło uroczyste otwarcie Galerii Marii Ritter, w której znalazło się 50 prac artystyki.

W roku 1979 wydany został przez dyrekcję Muzeum Okręgowego, nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej kolorowy afisz pt. „Malarstwo Marii Ritter — Galeria Marii Ritter” według projektu graficznego Leszka Jesionowskiego, z tekstem pisma mgr M. T. Maszczyk, oceniającym walory artystyczne obrazów Marii Ritter na tle tradycji w sztuce współczesnej, ze zdjęciami Władysława Wernera i Joanny Gajdy, reprodukcjami prace artystyki.

25 marca mija 5 lat od zgonu wielkiej artystyki i społecznicy. Serdecznie zachęcam do zwiedzenia Galerii obrazów Marii Ritter, szczególnie młodzież szkolną; wszelkich informacji odnośnie zwiedzania galerii udziela Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu, Łwowska 3, tel. 213-13.



*Dzieci — dziecioki moje —
coś uśmie —
Wadziecie się o pojcie chleba,
o polityki miske.
Pożrycie haw na mnie —
jo wasa matka —
cy jo o was nie dbata
od maluška do dziesiska.
[...]
No, coż jesteście —
i na co cekocie
Podejcie se ryńce
matke uradujcie.
No widziecie, moje główki,
ze korona wom nie spała.
Aze stońko świtycy jsińnyj
kie wos złośc opada.*

Delikatny rysunek tej Matki najoczywiczniej zawdzięcza wiele folklorowi, także kościelnym pieśniom. Od zarania zbiorowej polskiej wrażliwości istniał w niej uwielbiony obraz Matki: czulej i tkliwie, choć zasmuczonej. A z czasem Matka Bolesciwa — za sprawą naszej pełnej dramatów historii — zaczęła udzielać swych rysów Matce Polsce. Ból Polaków w tym przekształceniu się wyraził. Mickiewicz, epilog do *Pana Tadeusza*:

*O Matko Polsko! Ty tak służesz
w grobie
Złożona — nie ma sił mówić o tobie!*

Józef Wittlin w latach drugiej wojny światowej; wiersz *Stabat Mater*, jeden z piękniejszych, jakie zna polska poezja:

*Stabat Mater, Mater Nostra, Polonia,
Z cierni miała koronę na skroniach.*

Mater Lacrimosa, Mater Polonia — zespoliło się to w naszych odczuwaniach na trwałe i jest świadectwem ojczyznośnego losu. Jak dobrze, iż w wierszu pana Stanisławskiego serdeczna Matka trochę się uśmiecha. Jeszcze u-

śmiecha się, jeszcze może. Mieczyc jej bólaci są wciąż w zapalczyczych rękach synów. Jeszcze mamy szansę ucylnić coś, aby nie przeżyli synów.

Tu właśnie ma na względzie pan Stanisławski, pisząc wiersz S.O.S.

*Nie tędy droga, panowie,
Ojczyzna to nie targowisko.
Swoje ambicje diabłu sprzedajcie,
Powie: dziękuję — to wszystko.
Jeśli was nęci ten „postaw sukna”,
Jeśli tak dzielcie przagniecie,
To najpierw niech każdy z osobna
Swej matce cios zada w plecy.
[...]*

Otrzymałem również wiersz o kogoś innego, czyje nazwisko znam i kogo od wielu lat szanuję; jeśli więc nadesyłany utwór ukaże się tu pod autorskim pseudonimem, to dla przyczyny, którą sami Państwo spostrzeżecie: gdyż wybór tego pseudonimu i sposób jego uformowania należą do przeprowadzanej polemiki, stanowią część precyzyjnie pomyślanego literackiego tekstu.

*Lo Orlego piórecka
Polsko!
złego mos syna;
godo, ze jes poetom
a myśli o kóminak.
Kieby żył nas Skupień-Florek,
zwyrtńonby se ciupazeckom,
i krzyknonby het —
dyć, śród wos siedzi potuwoek
co lubi nute miemieckom!
Idź do mymców Orle piórko,
nie kcmey cie, miendzy nami,
na miemieckie idź podwórk
z cornymi piej kogutami.*

Kurcze piórko
z podholańskiego stada

Poruszył mnie i przejął ten wiersz przypomnienie Andrzeja Skupnia-Floka. Sam często w ostatnich miesiącach o Florcu myślę. Zastanawiam się, próbuję odgadnąć, co czynić każyby temu szlachetnemu, głęboko czującym człowiekowi współczesne problemy i wydarzenia. Bo to, że znalazłby się w nurcie odnowy i że nie obracałby ani czasu ani talentu na białostki czy na dojrutkowatość, tego jestem pewien, jak chyba i każdy, kto Florca znał. Poeta ze Stołowego za tak niezaprzeczalnie wielką sprawę uważał moralną czystość człowieka oraz związków międzyludzkich, a przy tym tyle w nim byio-intensywności prawdziwego działacza: uporu w dobrym, odwagi — że zięczyłby swój głos z głosami prostych i uczciwych ludzi, jak to zrobił tyle razy, choćby po październiku 1950. Już dlatego dziśniej wśród nas bardzo Andrzeja Skupnia brakuje. Lecz w tym wspomnianiu Florca tkwi coś więcej. Polska kultura długo nie zapomniała Florcowi jego wierszy pisanych w latach okupacji. Niebo zwałiło się na głowy, kłęska, gorzyz, swastyki na ulicach Paryża, faszystowska potęga bombarduje Londyn, polskie upragnienia żarzą się na skrzyżowaniu rozpaczy i bezkrytycznej ufności: „In słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej”, pod „Tatrami ktoś tam głosi plugawo pokusy „Goralenwaku” — a Skupień układa teksty spokojne, godne, jakby w granicach rzeźbił góralską twarz. Rok jest 1940, tytuł wiersza jednoznaczny i wprost: *Podhalańskie mi sny*.

*Hej, my sie dzierzylj swoik ojców
cynem
i ik nie zradziwom myślom —
[...]
Hej, dlo ciebie, Polsko, trud i znój
i syćkie nase męstwa,
dlo ciebie, Polsko, idziemy w boj —
bój wielki do zwycięstwa!*

Tak, istotnie Florck nie wolałby o przepuszczenie rodaków przez komin. Jego sumieniu świeciła gwiazda „niezdradziwej myśli”: cenny klejnot dziełnictwa narodowego po naszych przodkach.

I jeszcze o jednym muszę powiedzieć. Napisał również do nas sam pan „Orle piórko”. Wysłuchamy zatem i jego racji — w następnym tygodniu.

Baśń tylko dla dorosłych

KUSZENIE DO BOHATERSTWA

Wiosenne słońce wykapano do czysta w zimnej, dunajcowej wodzie patrzyło niecierpliwie no wylegującego się, od piętnastego już rana, Wszerada. Ale on nic sobie z tego nie robił. Pół miesiąca myślał jak dokonać czynów wielkich, niezwykłych, zachwytorodnych. Bezsukutecznie. Nadaremnie przychodzili do Wszerada codziennie piękne, rozkoszne, słodkie i miodne córki Dunajca, aby kusić do bohaterstwa.

— Już, już... Zaraz, zaraz — mówił Wszerad i krokiem nie ruszał się z miejsca.

— Alez miły — prosiła piękna Sławomila — wstań i idź zbudować most, który połączy na zawsze obojętne ludzkie ręce.

— Kochany — mówiła miłobrodna Onosława — pospiesz się powiedzieć oprostemu głosieliom prawdy.

— Najdroższy — wdzięczyła się słodkooka Wszemiła — czekają na ciebie puste drogowskazy, zapelnij je nowymi napisami.

— Wymarzony — szczebiała rozkoszopiersna Wianosława — wybuduj nowe góry, aby ludzie wspinając się no nie, uczyli się szlachetności i chłodzenia zawsze z głową wysoko uniesioną.

— Ukochany — tuliła się głodkonoga Ludowiro — naucz wszystkich nowej modlitwy...

— Jakiej? — zapytał leniwe rozpierzczony do biolosci Wszerad.

Ludowiro zwlekała z odpowiedzią. Zarłowała, że najpierw spotkać się muszą na... skrzyżowaniu nóg i takie tam golutkie bonjaluki plotła, aż wreszcie Wszerad usłyszał, że modlitwa powinna rozpoczynać się od słów: CHLEBA NASZEGO POWSZEDNIEGO I FANTAZJI.

— Musisz ułożyć dalszy ciąg, musisz sprawić, aby umieli ją na pamięć wszyscy ludzie.

Już, już miał zebrać się Wszerad do rozmazania słów Ludowiro, lecz znnowu dopadło go lenistwo i bezwład, o jemu samemu wydało się, że stoi na szczyście piramidy wapiłności. Sławomila, Ono-

słowa, Wszemiła, Wianosława i Ludowiro kusily no próżno ambilnego leniwca. Wszerad, nie ruszając się z miejsca, z zamkniętymi oczami pedził samotnie do wymarzonej niezwykłości. Czuł, że jej somarodek odnajdzie wcześniej czy później. Tylko jak? Tylko gdzie?

Pięć córek Dunajca kusilo i kusilo niestrudzenie, neprzerwanie, nie zauważając, że Wszerad staje się coraz słabszy i słabszy. Nawet myśli jego straciły dawną śmiałość i jedność. W końcu jednak zawiadzone Dunajcowy zstayły go samego i poszły kusić innych.

Rozejrzyj się zatem, czy w twoim okarmieniu nie pojawiła się już:

- Sławomila,
- Onosława,
- Wszemiła,
- Wianosława,
- Ludowiro...

A jeśli tak, stań razem z piękna, miłobrodna, słodkooka, rozkoszopiersna i głodkonoga w koleście długiej, najdluzszej nawet, do bohaterstwa.

EMIL BIELA

Zaprosili nas

● Zarząd Okręgu Polskiego Związku Wędkarskiego w Nowym Sączu na II okręgowy zjazd delegatów;

● Klub Ziemi Sadeckiej w Nowym Sączu na wystawę malarstwa regionalnego Bogumili Rosick-Pekaly;

● Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Sączu na koncert „U Prezydenta” w wykonaniu Capelli Craoviensis pod dyrekcją Stanisława Galońskiego;

● Dyrekcja Muzeum Lenina w Poroninie na wystawę pt. „Lenin — rewolucja — pokój”;

● Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej w Nowym Sączu na eliminacje wojewódzkie XX ogólnopolskiego konkursu piosenki radzieckiej;

● Ośrodek Kultury i Informacji NRD w Krakowie, Wojewódzki Ośrodek Kultury, Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Sączu na program „Song, gest i tuba” w wykonaniu artystów Niemieckiej Republiki Demokratycznej;

Rzadko, raz na kilka lat pojawia się film, który tak dzieł widownię na rozgorączkowanymi entuzjastów i całkowicie obojętnych. Ten należy do arcydzieł: PIKNIK POD WISZĄCĄ SKALĄ Petera Weira z Australii.

Jest alegorią. Reżyser postuguje się w nim zabiegami formalnym, który towarzyszy owocnie powstaniu prawdziwie wielkich dzieł sztuki. Towarzyszy też wszystkim filmom kultowym, cieszącym się uwielbieniem amatorów kina. Tak, PIKNIK to film kultowy.

Film kultowy musi być zagadką, choć nie musi należeć do utworów hermetycznych, dostępnych tylko dla ludzi wyjątkowo inteligentnych lub wykształconych w kodach ekranowych: może go odebrać — intuicyjnie — każdy, kto naprawdę tego zechce. PIKNIK jest tak odbierany przez podających się jego urokowi i jego znaczeniom; ale trzeba się na to poddanie zgodzić. I stąd owa dwudzielność: ślisa, niby polaryzacja promieni, która napotyka kryształ. Ależ owszem, kryształ: misterny film Weira pięknością roboty zasługuje na to porównanie.

Staje się ono jeszcze lepiej uzasadnione, gdy prześledzić strukturę znaczeń PIKNIKU: bo spontaniczny zachwyt dla formy i ducha tego obrazu wystarczą, by go szczególnie cenić, lecz na równie wiele podziwu zasługuje jego wartości wewnętrzne. Nienagannie logiczne snućie opowieści pozwala określić dosyć dokładnie, jakie ukryte struny ludzkich odczuć zostały przez Weira poruszone — choć uścislenie, o czym w istocie traktuje film, na pewno nie jest łatwe.

W tym miejscu wypada lojalnie uprzedzić, że zamiarem reżysera wcale nie było zachęcanie do szczegółowej analizy przedstawianych wypadków. Oto urywek wypowiedzi Weira dla „Sight and Sound”: „W połowie PIKNIKU próbowałem stopniowo przesunąć uwagę ze składników tajemnicy na ukazanie przynajmniej atmosfery niewy tłumaczalności zagadki — w celu uzyskania napięcia, wrażenia klaustrofobii scenarii i odniesienia między ludźmi. Usiłniew staraliśmy się o halucynacyjny, hipnotyczny rytm — tak, aby traciło się świadomości faktów, następstwa rzeczy, aby pozostawała tylko ta zagęszczona atmosfera. Robitem wszystko, by odejść od myśli widza jak najdalej od możliwości rozwiązania”.

Wygląda to jednoznacznie. Jeśli więc Weir mówi prawdę, to starannie się o interpretację szczegółów materialnych opisanę przezeń historii należałoby uznać po prostu za bezsensowne?

Otóż Weir mówi prawdę, a jego plan stworzenia filmu atmosfery, horroru, filmu trąjącego — po-



Czwarty wymiar

przez niewyraźne i niedomówione — bardziej do podświadomości, niż do myśli i wiedzy, został przeprowadzony z całkowitym powodzeniem. Równocześnie jednak realizatorzy PIKNIKU byli całkowicie uczciwi wobec pierwowzoru literackiego, wobec realności miejsca oraz czasu akcji i nie pozwolili sobie nigdzie na łatwy efekt, burzący spójną całość; że zaś w książce, którą adaptowali, wskazane jest rozwiązanie zagadki Wiszącej Skali — rozwiązywaliśmy jest też sens wydarzeń w filmie; dane są wszystkie znaki szyfru. Jest to jednak zadanie bardzo trudne. Pozostawiam tę przyjemność amatorom.

Nieznana u nas powieść Joan Lindsay — wydana przed 14 laty jedyną książką podesej wilem autorki — mówi podobno, że zapignione uczestniczeki światecznej przejażdżki pod Wiszącą Skalą, położoną o 65 kilometrowo na północny zachód od Melbourne, wchłonięte zostały w inny wymiar poprzez pętlę czasu. Hm. A więc Trójkąt Bermudzki, Yeti, meteoryt tunguski i wszystkie niezwykłości świata, które tak cudownie ożywiają wyobraźnię. Opisane wypadki z dnia świątecznego Walentego sprzed 81 lat miały się ponoć wydarzyć rzeczywiście (choć miłszy na ten temat Encyklopedia Australijska, brak też innego potwierdzenia informacji); czym innym jest jednak sam fakt, a czym innym jego objaśnienie. Stad Weir i jego scenarzyści — Cliff Green — słusznie przedstawili drobnowznowo okoliczności, ale zrezygnowali z konkretnu puenty: bo takie rozwiązanie bezapelacyjnie spychałoby opowieść do rzędu malowniczych fantazji naukowych, latwo zaspokajalo głoś poszukiwań sensu, niepomierne zawęzalo pole, na którym skupia się uwaga. PIKNIK oparzony jest więc tylko obfityości sugestii, które nigdy wzajemnie się nie wykluczają, choć wiele z nich w toku opowieści traci swą siłę. Choćby ta z prologu: wypowiediane dziewczęcym głosem słowa „to, co widzimy i co nam się zdaje jest snem jedynie, snem we śnie”. Nic

poźniej tego nie potwierdza; mamy tu więc zaledwie jeden z możliwych do przyjęcia kluczy. Proszę wybierać według uznania.

Historia rozpoczyna się rankiem dnia szczególnego w tradycji angielskiej: dnia łączenia się plaków w pary, czyli święta wyznawania uczuć, święta pamięci o istotach kochanych. Oczywiście, sens naturalny znajduje to tylko na półkuli północnej, gdzie 14 lutego niesie przeciepna nadchodzącej wiosny; na antypodach ta data odpowiada w kalendarzu przyrody dokładnie nazsmemu Dniu Wniebowstąpienia. No, ale tradycja obowiązuje w całym ówczesnym imperium królowej Wiktorii, a więc również w Australii, dla której jest to ostatnie lato w charakterze brytyjskiej kolonii: 1 stycznia 1901 roku powstanie Zwiątek Australijskich, co oznacza początek autonomicznego bytu kraju. Czas akcji wydaje się tu być znanymi: ważnym komponentem PIKNIKU jest wizja rozpadu systemu wiktoriańskiego.

Co się dzieje dalej, opisują nie będą; akcja jest szalenie skomplikowana, przekazana najpiękniejszymi bodaj w historii kina zdjęciami w stylu impresjonistycznym i oszobiona urzekającą muzyką, między innymi rumuńską (a tak): na syryndzie, czyli fletni Pana. Chcielibyśmy jednak zdradzić, jak odczytać intencje tego filmu.

Jeden z krytyków brytyjskich, Richard Combs, nazwał PIKNIK odyseją erotyczną. Nie przywiązał zresztą do tego spostrzeżenia większej wagi, traktując je wyłącznie jako sugestię znaczenia ostatniej sceny z Irma, jedną z bohaterek wypadków na Wiszącej Skale. Wydaje mi się, że nie powinien był rezygnować z uchwyczonego tropu; bo najlepsze uporządkowanie opozycji filmu Weira stawia właśnie po jednej stronie nieskrepowany erotyzm, a po drugiej — purytanizm, jakże represyjny wobec wszelkich przejawów wyzwolenia namiętności, szczególnie u kobiety. Spojrznie na PIKNIK pod tym kątem pozwala bez trudu znaleźć

istotę wielu zasadniczych związków opowieści. Nie tylko chodzi o kontrast marzeń rozkwitających dziecięcych i oschłej dyscypliny szkolnego zakładu, nie tylko ostrzej wylania się sprzecznosci pomiędzy starannym zachowywaniem zimnych form w świetle dnia i skrywanymi pragnieniami, które wybuchają na swobodzie, w ukryciu przed postrotnym okiem, w ciemności; najważniejsze jest to, że perspektywa gładu namiętności uwydatnia sens zachowań postaci w ostatniej sekwencji. Nie jest wtedy tajemnicą, dlaczego kierowiwiczka pensji doszła sensu wypadków na skale i spróbowała pojsć w ślady swojej nauczycielki. Bezsukutecznie: bo spaliła już swą siłę weonetrzną. Zabrakło mocy nie tylko jej; prestantki innych niepowodzeń miały jednak mne żrodo.

Weir nie zamyslił wskazać alegorii, opierając się bezpośrednio na pierwiastku seksu; przecież nie przypadkiem objawia poprzez historię Irma, że tajemnica na Wiszącej Skale nie wiązała się z erotyzmem fizycznym. Chodzi mu o całą sumę pragnień człowieka serdecznego i bezposredniego, a więc obrzucającego zastylę formy i represyjny system, słuchającego zewu natury, jednoznaczonego z nią. Stworzeniu tej sumy stusy cały jego mozaikowy system obrazowania, w którym tak zrecnie krzyżuje dwie przeciwstawne tendencje: z jednej strony nasyca odczucie tego, co nieuchwytne okiem, co podświadome i intuicyjne, jawiące się we śnie i w związkach psychicznych, z drugiej — zaciera konkretnie, rzadko mówi bezpośrednio o rzeczach materialnych, aluzyjnie opisuje napięcia w przedstawianej społeczności wiktoriańskiej, słowa zastępuje gestami, gesty — spojrznieami, od spojrznie ucieka kamera. Na Wiszącą Skale nastąpiło spotkanie z tajemnicą, którą chciałby pojsić każdy. Czwarty wymiar? Niech będzie czwarty wymiar. Czwartym wylnarem Weira jest swoboda ludzkiego ducha, jednia dążeń do miłosci i wolności.

Dla tego, co się wydarzyło, zaryzykować można nazwę wieuboustąpienia w sensie całkowicie świeckim; zdobycia raj. Latwo powiedzieć, że takie prestante jest niezbyt nośne myślowo. Ale nie uważalbyśmy tego za słuszne; tęsknota, którą tu muśnięto, staje się w dzisiejszym gasczu cywilizacyjnym coraz bardziej powszechna. Niezmienne jest zapotrzebowanie na nadzieję i wiarę w nieznane. Zawzwe lepiej widzieć świat okiem człowieka nadwrażliwego.

Był Średniego wzrostu, o drobnej raczej sylwetce, pomimo przekroczenia niedawno pięćdziesiątki na jego pociągłej twarzy było pełno bruzd, a włosach srebrzysty szron. Zmarszczki i siwizna. I oczy. Bystre, patrzące z sympatią. Na wszystkich i na wszystko.

"A tym zapamiętałem go z naszego ostatniego spotkania. Było inne niż wiele poprzednich. Wprawdzie — po rozegraniu partii „o wszystko” w warcaby — spodziewałem się jakiejś ciekawej historii, ale nie przypuszczałem, że będzie to historia jego życia. Bo nigdy nie mówił o sobie. Nikomu. Zresztą nie miał komu, gdyż ludzie jakoś dziwnie od niego stronili. A wtedy, niedługo przed swoim przedczesnym ODEJŚCIEM, na powiernika wybrał mnie, dwunastoletniego skrzabka, chłopca od sąsiadów. Małego przyjaciela? Dręczył mnie ten znak zapłaty. Dręczy, wiereci tak mocno ma duszę, że nawet po tylu latach nie mam odwagi napisać imienia i nazwiska bohatera moich dziecięcych lat. Zresztą, skoro tylko mnie powierzył te historie... Nazwę go więc STRYJEM. Bo jak stryj bliski mi był i jest do dziś.

— Mój mały — zaczął Stryj jak zwykle — „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość traci”. Tak mój staropolskie przysłowie, a prawdę zawartą w jego treści mogę odnieść do samego siebie.

Posłuchaj...

Opowieść Stryla

Ojciec mój był członkiem Komunistycznej Partii Polski, a nazwisko jego wymienia się dziś obok wielu innych w historii tego okresu. Starszy ode mnie o sześć lat mój brat działał w szeregach Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Nasz dom stanowił jeden z punktów kontaktowych dla aktywistów KPP. W takiej oto atmosferze wychowywałem się wraz z pozostałą czwórką rodzeństwa i nie dziwnego, że wszyscy związaaliśmy się z partią, idąc drogą ojca — komunisty.

Miałem dwanaście lat, kiedy pewnego dnia w naszym domu pojawiła się trójka nieznanymi mi ludźmi. Później dowiedziałem się, że dwoje z nich było towarzyszami ze Związku Radzieckiego, a jeden z Warszawy. Otrzymałem wtedy od ojca pierwsze zadanie

Jan Libront

STRYJ

„bojowe”: polecił mi zawiadomić o przybyciu towarzyszy jednego z członków KPP — kowala z sąsiedniej wsi. Wracając małą kartkę, ojciec uprzedził, że to kowala mogą być policjanci i w takim przypadku będę musiał odczekać w pobliżu, a dopiero po ich odejściu wypełnić misję.

Biegłem pełen dumy z okazanego mi zaufania. Obawy ojca okazały się trafne: w domu kowala znajdowało się dwóch policjantów, na szczęście w mundurach. Pamiętałem o przestrodze, ale zauważyłem ich zbyt późno, bym mógł się wycofać. Zdażyłem jednak ukryć kartkę w uszach. Zapytany jak się nazywam, posłużyłem się nazwiskiem swągry mego ojca, mieszkającego w tej wsi, a swoją obecność wytłumaczyłem codzienną drogą do szkoły. Uwierzyli i nawet nie zwrócili uwagi na moje „trudności” z wymową. Ukryty pod mostkiem przejechałem aż odejdał i dopiero wówczas oddałem kowalowi kartkę. Do domu wróciłem okrytą drogą, a kiedy wspominałem ojcu o spotkaniu z policją, popieszczenie zmieniono miejsce konspiracyjnej narady.

Nie tylko nazwisko podałem policjantom nieprawdę — skłamałem również mówiąc o szkole. Rodziców nie było stać na posyłanie małego do nauki. Ojciec pracował w Spółdzielni Samopomoc Chłopska „Sierp” w charakterze magazyniera, a jego zarobek z biedą wystarczał na wyżywienie rodziny. Brat bardzo zaangażowany w pracę w KZMP, nie mógł ryzykować przebywania stale w jednej miejscowości, więc

pracował jedynie dorywczo. Mając niespełna trzydzieści lat musiałem więc iść do pracy, którą znalazł mi w cegielni sekretarz KPP — przyjaciel ojca.

Czas był burzliwy, więc już krótko ja, trzynastoletni zaledwie chłopak, brałem udział w strajku. Czy uczyniłem to w wyniku świadomości klasowej, świadomości wyszku robotnika? Nie. Na to byłem jeszcze za młody i zbyt niedojrzały. Strajkowałem, bo popiełniczy właściciele cegielni chcieli mnie przekupić dwudziestoma groszami za godzinę lamistrajkowania, a ja czułem, że w przekupstwie kryje się coś niedobrego. I dlatego, że ci, z którymi pracowałem, powiedzieli, że zerzną mi portki, jeżeli nie będę z nimi, strajkującymi. A jeżeli chcą mi zerznąć portki — rozmowałem — ci, którzy nie zgadzają się z wyzyskiem, to przecież muszą mieć rację.

Był to dla mnie pierwszy szczebel drabiny edukacji politycznej. W 1940 roku ojciec zabrał mnie na pierwsze zebranie partyjne, odbywające się u wspomnianego sekretarza KPP. Nie mówiono już o strajkach — teraz największym wrogiem był niemiecki kupczak. Trzeba z nim walczyć, na razie nie otwartym oporem, a sabotażem. Gdy przyjdzie czas, sięgniemy po broń.

Po wojnie zgłosiłem się do pracy w publicznych zakładach chemicznych. Nie upłynął jednak miesiąc, gdy otrzymałem wezwanie do wojska. Nawet żadnych poborów nie wziętam. Dostałem trochę mąki, kaszy i rąbanki. Wojna

skończyła się, ale strzały jeszcze nie umilkły; strzały tym bardziej bolesne, że podstępne, zdradzieckie, bratobójcze. Wcielony do I Dywizji imienia Tadeusza Kościuszki, walczyłem z bandami WiN w okolicach Warszawy, a później w Bieszczadach.

Tak wstąpiłem na następny stopień edukacji patriotycznej i politycznej.

W walkę wszedłem szczęśliwie. Wróciłem do domu. Wróciłem już jako człowiek w pełni ukształtowany fizycznie i politycznie. Suma moich obserwacji i doświadczeń skierowała moje kroki do Polskiej Partii Robotniczej. Jako jednego z pierwszych w naszym miasteczku. Nie wszyscy mojej decyzji przyklasnili. Widziałem wokół siebie sporo niechętnych twarzy. Wiele było słówczas dezorientacji i nieufności...

Służba wojskowa w tamtych czasach nie dawała przygotowania zawodowego, jak to jest teraz. Poszedłem więc jako „surowy” do zakładu i zostałem pomocnikiem monterka. Nie na długo. Kurs zawodowy, praktyka robią swoje. Zostałem ślusarzem aparatury chemicznej. Pokochałem moją pracę. Pierwszą. Dla kraju, dla siebie. I ostatnią.

Krzyż

Słowo „ostatnia” zmaterializowało się najtragiczniej. W kilka dni po naszym Stryjem rozmowie miasto obiegła wieść, że jakiś starszy mężczyzna uratował z płonącego samochodu dwoje młodych ludzi i ich trzyletniego synka. I że walczy w szpitalu o własne życie. Tę walkę przegrał.

Szedłem za trumną, oglądając się na szpaler moich rówieśników, noszących oznaczenia Stryla. Nie widziałem ich przedem. Na małej poduszce koloru brzoźdu spoczywał krzyż — Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Nadany pośmiertnie bohaterowi dwóch pokoleń.

Zbliża się kwiecień — Miesiąc Pamięci Narodowej. Znowu przy grobie Stryla zastanę harcerzy z miejscowego szczebla ZHP. Gdy żył, nie miał przyjaciół. Może jednego. Teraz ma ich wielu. Jestem im wdzięczny za opiekę nad miejscem spoczynku mojego przybranego Stryla. Przypominają mi Jego z opowieści, gdy był jak on dwunastoletnim chłopcem. I przypominają mi moje dwanaście lat, gdy słuchałem historii Jego życia.

Jan Wielek

O dawnej obyczajowości

Pisałem już wcześniej, że zachowane w archiwum wiejskie księgi sądowe z dawnych wieków są doskonałym źródłem do poznania życia naszych przodków. Dzisiaj do tematu tego dorzuciłem kilka faktów zaczerpniętych z nigdzie dotychczas nie publikowanych „Ksiąg sądowych klucza strzeszycko-zbikowskiego”, położonego w dolinie rzeki Łososiny. Klucz ten składał się z kilku wsi (Strzeszyce, Zmiaćca, Jaworzna, Kamionka Mała, Krosna, Ujanowice, Sechna, Kobyleczyna, Zbikowice i Wronowice) i do czasów zaboru austriackiego należał do starszadziekiego klasztoru Klarysek.

Na początek kilka uwag o ówczesnym sposobie ferowania tu wyroków: sądy odbywały się trzy razy do roku, drobne zaś sprawy załatwiał na bieżąco sędzia lub wójt. Często jednak strony nie były zadowolone z werdyktu wójta; sąd naznaczal wtedy komisję złożoną z kilku wójtów i przysiężnych, która definitywnie rozstrzygała spór. Raz do roku odbywały się „wielkie sądy rugowe”, w których obowiązkowo uczestniczyć musieli wszyscy mieszkańcy. Sądy te miały formę publicznej sesji wędzi ogółu ludności za przesyłki i tam „dobrzy byli chwaleni, nierni ganieni, źli zaś pląganiami okładani”.

Rozprawom przewodniczył zarządca lub dzierżawca folwarku, obecni na nich byli również urzędnicy dworscy i klasztorni. Ława sądowna składała się z wójtów poszczególnych wsi, zaś w charakterze publicznych oskarżycieli występowały zaprzysiężeni „rugowci”, których każda wieś wybierała z osobna (stąd też nazwa: „sąd rugowy”). Obowiązkiem rugowego było przedstawianie każdej sprawy ze swego środowiska, która zgodnie z ówczesnymi przepisami i prawem zwyczajowym powinna się znaleźć na wokandzie. Zażalenie sprawy mogło być powodem wymierzenia rugowemu kary 50 kijów i złożenia funta wosku do ko-

ściola parafialnego. W sprawach ważnych, zwłaszcza natury ekonomicznej, ostateczny werdykt należał do przełożonej klasztoru starszadziekiego.

Oskarżenia w wypadku udowodnienia zarzucanego im przestępstwa mogli być skazani na pięć kar, stosowanych zazwyczaj łącznie. Najczęściej i do rąbki formą kary były „płaci porządne”, czyli rąby, wydzielane zazwyczaj tuż po rozprawie przed obliczem sądu. Bilo rózgami, kijami, kończugami lub postronkami, wylęczając najmniej 10 rąb, a przeznając 50—100, zaś czasami nawet i 300. Oprócz plag sądzano karę pieniężną płaconą dworowi (najczęściej 10 grzywnien) oraz kwotę, która służyła na opłacenie pocztunku dla ławy sądownej. Każdy występke uważano przy tym za obrazę Boga, skazany więc musiał do kościoła parafialnego oddawać wosk oraz w czasie publicznych nabożeństw „pokorę czynić”, leżąc krzyżem lub też trzymając w ręce kij z zatkniętym symbolem swego przewinienia.

Najczęstszym przestępstwem, jakie przewija się przez księgi sądowe, jest cudzołóstwo. Przestępstwo to bowiem w ówczesnym prawodawstwie i prawie zwyczajowym było szczególnie ścigane i o ile inne sprawy można było jakoś załatwić w sądzie wójtowskim, to cudzołóstwo jako szczególnie ciężkie, musiało być rozpatrywane w sądach rugowych. W roku 1742 w Strzeszycach sądzonych było aż 12 takich przypadków z okolicznych wsi. Dla przykładu przytoczymy dwa fakty:

„Będąc do sądu podana przez Walentego Tokarza, przysięgłego z Jaworzny, Agata Rośkówna, która dostaważy bękartą od Stanisława Rośka, a do tego będąc jeszcze w pokrewieństwie w czwartym pokoleniu, była sądzona. Sąd tedy niniejszy, zważywszy takąż ciężką obrazę Pana Boga tak decyduje: Aby Stanisław Rośek za exces ten był karany plag 100 postronków, błągając zaś majestat boski przez trzy niedziele krzyżem będzie leżał, poczawszy od niedzieli białej przed mszą świętą, wyciągnawszy ręce, a nadto odda grzywnien do kościoła ujanowickiego 10, do dwora grzywnien 10, do skrzynki wójtowskiej grzywnien dwie. A Agata Rośkówna powinna być karana plag 200,

o ile się by miała dopuścić drugi raz tego grzechu, karana będzie plag 300 i do tego, aby była wynajana z poddaństwa, by się więcej potem obraza boska nie działa. Marcin Rośek, że się to w jego domu działo a nie ostrzegł tego, ma być karany plag 50, grzywnien do kościoła 5, dworowi grzywnien 5, do skrzynki wójtowskiej grzywnien 2, co się pięć surowszą karą zaleca.”

Bardzo oryginalną karę obmyślono przy innej sprawie o „grzech nieczysty” z tego samego roku. Tym razem sądzony był Jan Zelek z Krosnej, którego do sądu podał szlachcic Jan Porebski z parafii wójkowskiej za to, że „miał się dopuścić grzechu cielesnego z pasierbicą swoją, do czego się dobrowolnie przycznił przed sądem i całą uproszoną szlachką”. Oskarżony na rozprawie przyrzekł, że podobnego występku się już nie dopuści, a nadto znalazł rozropne wytłumaczenie, opowiadając, iż „stało się to nie z umysłu lecz przez nieostrożność, gdyż przyszedłszy w nocy z karczym pijany, rozumiał, że nie pasierbica, ale jego żona do niego przysłała”. Sąd, przyjmując propozycję szlachty, tak feruje wyrok: „Lubo należało za ciężką obrazę Majestatu Boskiego surowszymi karac karami, jednak do mniejszych przystąpiwszy, najprzód, aby wyplacając się sprawiedliwości boskiej poszedł do Czesiochowy i tam dawszy na Mszę przez nią krzyżem leżał przed obrazem Matki Najświętszej. Zaś, że ten exces popełnił w tej parafii, naznacza sąd niniejszy, aby tu publicznie odbył pokutę ... powinien być karany plag 200 i przez trzy dni w wielki tydzień był krzyżem leżał z rozciągniętymi rękoma, przez środek, piątek i sobotę”. Dalej następowo wylężenie kar pieniężnych, podobnych jak w sprawie poprzednio omawianej.

Za bardzo ciężkie wykroczenie uważano również kradzież. W roku 1720 sądzony był w Strzeszycach niejaki Bartłomiej Kędręk z Krosnej, który skradł zboże Sebastianowi Sademu, wyważając kłódki od sąsiadów za pomocą istyka — czyli okutego kija, używanego przy orce. Ow istyk występował na tej rozprawie jako „lic” — czyli niezbity dowód przestępstwa. Sąd, uznając winę Kędrki za udowodnioną, taki ferował wyrok: „Lubo według prawa magdeburskiego powinien być karany na garale, spuszcza to jednak niniejszy sąd z tego rygora prawa... nakazując, by jednak za pokradzenie zboża oddał Sebastianowi Sademu złotych 17, powinien również Bartłomiej Kędręk karany być plag 100, w kościele ujanowickim przez pięć uroczystych świąt będzie stał pod tępcą z tym istykiem”. Nie opuszczono również zwyczajowych w każdej rozprawie kar pieniężnych dla dworu, kościoła i sądu.

Moito:

„Tyle serc dla Polski bije
Tyle serc już bież przestało
Za tę cenę Polska żyje”

(napis na tablicy ze wspólnej mogiły partyzantów)

Szymbark koło Gorlic interesuje od dawna turystów ze względu na stary, obronny, renesansowy dwór Gładyszów z XVI wieku. Nieopodal tego zabytku w dniu 8 października 1967 roku z inicjatywy ZBoWiD w Gorlicach, a kosztem Spółdzielni Usług Wielobranżowych w Gorlicach, została odsłonięta tablica pamiątkowa na grobie poległych tam podczas II wojny światowej żołnierzy-partyzantów z „Zielonych Koszar”. Grób partyzantów jest pod opieką harcerzy ze Szkoły Podstawowej w Szymbarku.

Na terenie wsi Ropa i okolicy działał aktywnie oddział AK kierowany przez Franciszka Paszka, syna właściciela browaru w Grybowie (pseudonim okupacyjny „Kmicic”) oraz drugi oddział kierowany przez „Orlika” (Bolesława Korygę). Pod koniec okupacji powstał oddział BCh, zorganizowany przez Jana Kaczmarska — kierownika młeczarni w Ropie. Jednym z organizatorów AK w Ropie był nauczyciel tamtejszej Szkoły Podstawowej nr 2, Stanisław Siemek. Franciszek Paszek i Stanisław Siemek w 1944 roku urządzili dla swej grupy operacyjnej „Zielone Koszary” na Górze Zielonej (702 m n.p.m.), w paśmie Maślanej Góry, między wsiami Gródkiem, Ropą, Szymbarkiem, Bystrą, Bieśnikiem i Szalową. Oprócz tego siedziby partyzantów mieściły się u Władysława Morajdy i Tomasza Janigi w Ropie pod Chelmem, Stanisława i Adolfa Obrzutów, Wojciecha Kusiaka i Jana Rówińskiego na Lysej Górze. Partyzanci przeprowadzali wiele akcji, nie też dziwnego, że wróg coraz bardziej pragnął rozprawić się z „leśnymi”.

26 czerwca 1944 roku o godz. 3 nad ranem Niemcy rozpoczęli oblężenie partyzantów w Ropie. Komendant miejscowego posterunku policji granatowej, Wenzel, powiadomił kogo mógł, aby partyzanci uciekli w las. Niemiecka żandarmeria połowa z Gorlic i Bobowej oraz gestapo z Gorlic otaczały kolejne domy w Ropie i przeprowadzały gruntowną rewizję, wypędzając inwentarz za obór, tłukąc i niszcząc sprzęty i mieszkania. W wyniku tej oblężenia aresztowano czterech członków grupy „Kmicica” (Franciszka Paszka), którzy nie zostali na czas o oblężeniu powiadomieni. Byli to: Tadeusz Kosiba ps. „Jurand”, Józef Leśniak ps. „Mściciel” oraz bracia Jan i Kazimierz Karpiny ps. „Żywy I” i „Żywy II”. Skutych akowców odstawiono na posterunek policji granatowej w Ropie, gdzie bijąc i kopiąc przystąpiono do śledztwa i próby wykrycia całej podziemnej organizacji bojowej.

Nagle hitlerowcy otrzymali telefoniczny meldunek o poważniejszej akcji bojowej partyzantów koło sąsiedniego Grybowa. Tortury przerywano, a więźniów umieszczono w areszcie gromadzkim w Ropie, wystawiając przy bramie silną straż. Hitlerowcy pospiesznie wsiadli do samochodów i odjechali w kierunku Grybowa.

Wiadomość o aresztowaniu czterech akowców rozeszła się po Ropie lotem błyskawicy. Łącznik grupy „Kmicica” Józef Kielbasa ps. „Głaz” pobiegł do domu Stanisława Kroka, aby przetrzeć leżące tam choiego akowca Jana Górskiego. Ten zerwał się natychmiast z łóżka i — przebrany za wiejską kobietę — znanymi sobie skrótami pobiegł do komendanta placówki w Ropie, porucznika Stanisława Siemka ps. „Bór”.

Siemek szybko podejmuje decyzję odbicia aresztowanych. W zaroślach cmentarza parafialnego kontaktuje się z komendantem niedaleko stojącego budynku policji, Wenzel, i powiadamia go o decyzji odbicia więźniów. Wenzel obiecuje pomoc, lecz stawia warunek, żeby odbicie więźniów nastąpiło poza terenem wsi, aby nie narazić się jej na represje ze strony hitlerowców. „Bór” pozostawia w Ropie łącznika, Piotra Górskiego, aby ten zaobserwował czas wywozu więźniów do Gorlic do siedziby gestapo oraz ilość konwojentów, sam zaś natychmiast przeprowadza alarm i prosi o zgłoszenie się ochotników do odbicia kolegów. Wszyscy partyzanci zgłaszają się jak jeden mąż. „Bór” wybiera najbardziej doświadczonych w tego typu akcjach. Byli to: Kazimierz Brenner z Nowego Sączu ps. „Oświęcim”, Władysław Kędra z Łużnej ps. „Cień”, Roman Ba-

ra z Szalowej ps. „Sep”, Rudolf Niedziela kapral (dezertor z armii Wehrmachtu), Górnośazak ps. „Rudek”, podchorąży Stefan Gruca z Białej Niżnej ps. „Konar”, nieznanego nazwiska ps. „Nemezis” i Piotr Górski jako przewodnik grupy.

Ustalono miejsce odbicia: droga koło cmentarza naprzeciw obronnego dworu w Szymbarku, gdzie były gęste zarośla. Wyznaczona grupa szybko znalazła się na miejscu i zajęła stanowiska bojowe. „Oświęcim” i „Cień” z ręcznymi granatami zaczęli produkcję węgierskiej osłaniającej drogę od Gorlic przeciw samochodom niemieckim. Zaś „Sep”, „Konar”, „Rudek”, „Nemezis” i Piotr Górski, uzbrojeni w pistolety maszynowe i granaty, mieli za zadanie zaatakować konwoj i uwolnić więźniów.

Zgodnie z przewidywaniem, 26 czerwca 1944 roku o godz. 6 wieczorem więźniów skutych po

z wybuchami granatów ręcznych. Zwalil się z roweru śmiertelnie ugodzony pierwszy hitlerowiec konwojujący furmankę. Za chwilę padł zabity drugi Niemiec, a trzeci ranny, wraz z pozostałymi hitlerowcami, szukal schronienia w przyrodzonym rowie, skąd zaczął się ostrzeliwać. Równocześnie sploszone akcją konie pociągnęły furmankę galopem.

Do akcji włączyli się „Oświęcim” i „Cień”. „Oświęcim” odbezpieczył granat, podniósł go ponad głowę i mierzył w kryjówkę hitlerowców w rowie. Nagle opuścił rękę do wysokości piersi. Został rażony kulą niemiecką, czy też może granat był zły? Ekspłodował w rękę „Oświęcim”. Odlamki ciężko raniły w głowę i szyję towarzyszącego mu „Cienia”. Odlamkiem tegoż granatu został też ranny w głowę „Sep”.

Tymczasem więźniowie, kalecząc sobie ręce, rozerwali druty na nogach i z trudem, skuci po

Marian Janiga



Il nagroda w konkursie „PAMIĘTAMY!”

dwoch załadowano na furmankę i odprawiono do Gorlic. Łącznik „Głaz” na migi poinformował więźniów, że zostaną odbici. Toteż więźniowie z niecierpliwością oczekiwali akcji kolegów.

Transport minął Ropę i wjechał do Szymbarku, gdzie na Łęgach granatowa policja przekazała go żandarmerii polowej. Furmankę ubezpieczało pięciu żandarmów na rowerach. Jeden z hitlerowców zatrzymał na chwilę furmankę, wyciągnął z kieszeni cienki drut i związał nim nogi więźniów w ten sposób, że każdy wstrząs furmanki na wyboistej drodze powodował wbijanie się drutu w ciało aresztowanych.

Więźniowie coraz bardziej wątpili, czy zostaną odbici. Tymczasem furmanka powoli zbliżała się do miejsca zasadki. Grupa partyzantów była już gotowa do natarcia, gdy nagle na drodze pojawił się chłop z Szymbarku, wracający z pola. Zatrzymano go więc z ostrzeżeniem, że zostanie postrzelony w wypadku ucieczki.

Furmanka wjechała na linię ognia. Ciszę pogodnego czerwcowego wieczora przerwała nagle seria strzałów z pistoletu maszynowego, a następnie huk strzałów karabinowych zmieszał się

dwoch, wyskoczyli z galopującej furmanki i uciekli do pobliskiego lasu.

Od strony Gorlic nadleciał warkot samochodów niemieckich. Grupa bojowa akowców wycofała się pospiesznie z pola walki, osłaniając odbitych czterech więźniów, którzy skuci i bez broni uciekali w kierunku „Zielonych Koszar”. Na drodze pozostali „Oświęcim” i „Cień”. „Cień” — ciężko ranny — odzyskał chwilowo przytomność i zaczął się do pobliskiego lanu pszenicy. Jednak wystraszony przebiegiem walki chłop z Szymbarku wskazał go Niemcom. Hitlerowcy kolbami dobili ciężko rannego „Cienia”.

Jeszcze tego samego wieczora w „Zielonych Koszarach” podsumowano akcję: odbicie czterech więźniów zostało okupione śmiercią „Oświęcim” i „Cienia” oraz raną „Sep”.

Na zdracę — usługowego hitlerowcom chłopca z Szymbarku — wydano wyrok, który został wykonany tej samej jeszcze nocy.

„Zstąpiła z niebios ognista żmija...”

30 czerwca 1908 roku na Syberii w dorzeczu rzeki Podkaimenna Tunguska, będącej dopływem Jeniseju, miała miejsce niezwykła katastrofa. Jak twierdzą naoczni świadkowie (którzy znajdowali się w odległości setek kilometrów od miejsca wydarzenia) „nagle na niebie ukazało się przeraźliwie jasne ciało niebieskie, które w ciągu bardzo krótkiego czasu przebiegło ogromny obszar nieba z północno-wschodu ku zachodowi, po czym jakby eksplodowało z zerknięciem się z Ziemią”. Detonację słychać było podobno w odległości 1200 km. Fala sejsmiczną, która dwukrotnie obiegła naszą planetę, zarejestrowały wszystkie stacje sejsmiczne na naszym globie.

Naukowcy zainteresowali się miejscem upadku meteorytu tunguskiego dopiero po Rewolucji Październikowej. Pierwsza wyprawa naukowa wyruszyła na Syberię w 1927 roku. Grupa naukowców pod kierownictwem L. Kulika nie znalazła najmniejszego śladu, który świadczyłby o tym, że na Ziemię spadł olbrzymi meteor. Wówczas to powstała śmiała hipoteza, że nad ziemią rozbił się statek kosmiczny, należący do pozaziemskiej cywilizacji. Późniejsze ekspedycje i badania naukowe nie potwierdziły tej teorii.

A może rozwiązania zagadki należy szukać nie na Ziemi, lecz w kosmosie? Takie właśnie pytanie zadał niedawno członek Akademii Nauk ZSRR, Georgij Pietrow, występując w Domu Uczzonego w Moskwie, na wieczorne zorganizowanym dla uczczenia pamięci Jurija Gagarina. Piękną legendą starożytnych Greków o Faetonie opisuje m. in. przerażające zjawisko, które ognisk miało miejsce na Kaukazie. W kronikach z tego okresu czytamy: „Płonęło niebo, kipiało morze, palił się las...” W starej rosyjskiej kronice

o księciu Wsiwołodzie podaje się, że podczas jego polowania pod Wyszogrodem „zstąpiła z nieba ognista żmija i swoim gromem wielkim doprowadziła wszystkich do śmiertelnego przerażenia”.

Czym naprawdę były owe zauważone na niebie „ogniste żmije”? Aby wyjaśnić powstanie takiego zjawiska, najbardziej odpowiednio będzie właśnie zjawisko tunguskie. Obecnie wiemy na pewno tylko jedno: tunguskiego meteorytu nigdy nie było, jako że meteoroidem nazywamy ciało kosmiczne, które dotarło do powierzchni Ziemi. Tymczasem w rejonie wybuchu, wskutek którego powyrwane zostały drzewa na dwóch tysiącach kilometrów kwadratowych, do dziś dnia nie znaleziono ani jednego odłamka, nawet wielkości paznokcia. Ogromny rozżarzony bolid, który zbliżył się do Ziemi, na wysokości około 6 km wybuchł ze strasznym loskotem a następnie... wyparował. Hipoteza, że w 1908 roku nad Centralną Syberią nastąpiła katastrofa statku kosmicznego nieznanej cywilizacji (w którym paliwem — zdaniem niektórych — była almatematia) obalają wyniki badań naukowych. Bardzo negująco wygląda inne wyjaśnienie — mianowicie takie, że nad tajgą nastąpił wybuch jądrowy. Oceniając skutki wybuchu stwierdzono, że energia, która się wydzieliła, odpowiadała wybuchowi bomby wodorowej o mocy 20 megaton. Jednak analizy gleby w tym rejonie, przeprowadzone przez zespół naukowców pod kierownictwem prof. Awgustry Dawruchinej z Instytutu Geologii i Chemii Analitycznej AN ZSRR, obalają także to twierdzenie.

W jaki sposób ciało o masie miliona ton mogło zostać całkowicie zatrzymane przez atmosferę? Mając tak olbrzymią masę, meteoryt musiałby dolecieć do powierzchni Ziemi i wyzłobić w niej gigantyczny krater.

Obecnie coraz częściej mówi się o tym, że na swej drodze po orbicie wokół Słońca Ziemia napotkała jądro niewielkiej komety. Jądro to weszło w atmosferę, według obliczeń G. Pie-

trowa z szybkością 30-40 km/s, przy czym cała energia kinetyczna tego ciała przekształciła się w falę uderzeniową i ciepłą. Korzystając z zasad balistyki, udało się stwierdzić, że tak masowne ciało mogło całkowicie wyhamować w atmosferze wyłącznie w przypadku, jeśli miało ono niezwykle małą gęstość, rzędu setnych do tysięcznych części grama na centymetr sześcienny. Tak więc wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z zagadkowym fenomenem kosmicznym.

Najprawdopodobniej — twierdzi G. Pietrow — rzekomy meteoryt tunguski był wyjątkowo kruchą grudą śniegu, składającą się z azurowych kryształków lodowych. Jednakże według współczesnych wyobrażeń w skład jądra komety, oprócz lodu, powinny wchodzić także „kropelki” pyłu kosmicznego, w tym także cząsteczki trudno topliwych substancji. Jeśli udaloby się odkryć w rejonie upadku te substancje, wówczas hipoteza o jądrze komety zostałaby potwierdzona.

I o to zupełnie niedawno ukazało się oświadczenie naukowców z Akademii Nauk Ukrainiejskiej SRR, uznane za sensacyjne. Ekspedycja badaczy ukraińskich postanowiła dokładnie zbadać małe kuleczki krzemowe, które niejednokrotnie znajdowane były przez kolejne ekspedycje naukowe. W kuleczkach pochodzących z warstw 1908 roku udało się odnaleźć wzbogacony węgiel aktywny C14.

Czy to jest rezultat oddziaływania promieni kosmicznych, gdy „meteoryt” wędrował jeszcze w kosmosie? Być może, chociaż niewykluczone jest także ziemskie pochodzenie takiego węgla.

Jednak inne twarde cząstki naprawdę zbulwersowały naukowców. Analiza rentgenograficzna wykazała w nich obecność trzech rodzajów grafitu. Przy powiększeniu tych cząstek 19 tysięcy razy odkryto cząstki diamentowo-grafitowe. Specjaliści doskonale wiedzą, że takie złącza, charakteryzujące się takim właśnie składem chemicznym,

związane są z substancjami pochodzenia meteoroidalnego.

Członkowie ukraińskiej ekspedycji stwierdzili ponadto, że w rejonie wybuchu około 150 mln lat temu był prawdopodobnie czynny wulkan. Być może odnalezione złącza diamentowo-grafitowe są produktem jego wybuchu.

Być może następne lata nie przyniosą już badaczom domniemanego meteorytu tunguskiego żadnych rewelacji. Jak więc można rozwiązać zagadkę tego „czegoś”, eo dotarło do nas z kosmosu 72 lata temu?

Georgij Pietrow proponuje zorganizowanie kosmicznej ekspedycji w celu ostatecznego wyjaśnienia tego fascynującego zjawiska. Proponuje on, aby w określonym czasie wysłać na spotkanie ze zbliżającą się do Słońca kometa sondę kosmiczną. Obliczenia (wykonane wraz z Mikołajem Krupenką) wykazały, że w okresie od 1984 do 1990 roku można by zorganizować wiele takich „spotkań” z kometami z rodziny Jowisza, przy użyciu posiadanej już rakiety. Ot, chociażby z kometą Tempel-2.

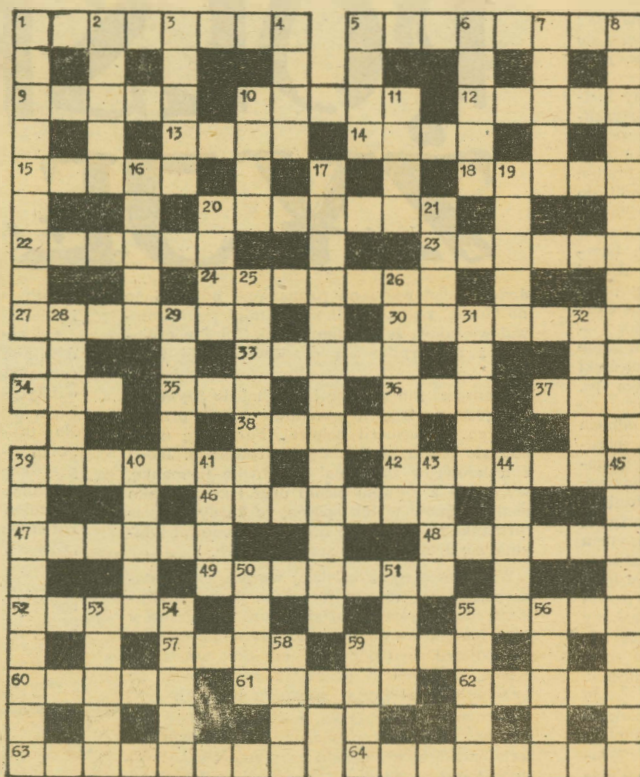
Jakie możliwości daje taki lot? Przede wszystkim można by po raz pierwszy wykonać zdjęcia jądra komety i tym samym dowiedzieć się czegoś więcej na temat jego rozmiarów. Zagadkę tę można by rozwiązać za pomocą zainstalowanego na sondzie radiolokatora. Niezależnie od tego wysłane przezeń impulsy radiowe (na falach o czterech częstotliwościach) mogłyby także po raz pierwszy zmierzyć gęstość ciała centralnego. Warto dodać, że badania te można by przeprowadzić za pomocą anteny typu KRT-10 (o średnicy dziesięciometrowej), która została z powodzeniem wypróbowana przez W. Lachowa i W. Riumina na pokładzie statku orbitalnej „Salut-6”.

OLEG BORISÓW (APN)

POZIOMO: 1) starannie dobrane przez amatora łowienia ryb, 5) to brzmii dumnie, 9) najwyższy punkt nieboskłonu, 10) chlubi się nim Poreba Wielka, 12) nad nią najpiękniejsze zamki europejskie, 13) przed wejściem do portu, 14) sprzedaje antyki, 15) trześcianka przed występowaniem, 18) wybitny dwudziestowieczny plastyk niemiecki, 20) bardzo ją lubimy, odkąd nam brak mięsa, 22) Ławka w Lipińskich Murach nad Doliną Pięciu Stawów, 23) obchodzi imieniny wraz z Kosmą, 24) pisarz i publicysta krakowski, autor „Igrów w Barbakanie”, 27) przodek, 30) poczucie własnej wartości, 33) grzbiet górski nad przelotem Sanu, 34) uzdrowisko belgijskie, 35) kuzyn konia, 36) ta nasza to kenozoiczna, 37) najślimię umieslnona część ciała, 38) rozczarowanie, 39) bufor, 42) podstawowa część nowoczesnej elektroniki, 46) pruski naczelnik powiatu, 47) iza niedławi, 48) przy uścisku Tanwi, 49) padli jako jedni z pierwszych ofiary białej kolonizacji w Ameryce, 52) Butym z jedną nogą, 55) sucha lodyga, 57) 29 III 1981, 59) pozycje lasu, 60) Henryk VIII, 61) Lupa, 62) przyrząd do pisania w starożytności, 63) akcja na całym froncie, 64) patrzysz trzy na dwunasta.

PIONOWO: 1) inspekcja nadzwyczajna, 2) ozdoba ogrodu warzywnego, 3) wino z nad Adriatyku, 4) mieszcznik dolnośląski, 5) wiekłe jezioro afrykańskie, 6) oboz jenców-oficerów, 7) północno-zachodni stan amerykański, 8) na stole wielkanocnym, 10) przy leczeniu gruźlicy, 11) imię anglosaskie; noszą je znani piosenkarze Diamond i Young, 16) ustalił alfabet telegraficzny, 17) po zamianie M-3 na M-5, 19) mieszczą fotografie, 20) służą turystyce, 21) ma kłopoty z organizowaniem imienin, 25) ochronna warstwa komórki, 26) sekcja uczelniana, 28) system poruszania się pojazdu, 29) bezwzględne polecenie, 31) podzięko-

Krzyżówka nr 12



wanie dla aktorów, 32) strawa, 39) zdanie śmierci bez premedytacji, 40) rosyjski pejzazysta z początku XX wieku, 41) górale nazwali je glonami, 43) futerał na drobiazgi, 44) zabezpieczenie okna, 45) pierwsza rozprawa w roku 1640 w Anelli, 50) część spłaty, 51) fachowiec od pieców, 53) rodzaj stołków, 54) Stanisława Żółkiewskiego 11, Nowy Sącz, 55) ciemny kolor, 56) gniazda wiosel, 58) wśród najbliższych jest ta z kurantem, 59) morska wyprawa.

SIEDMIOWYRAZOWE HASŁO POMOCNICZE TO AKTUALNE PRZYSŁOWIE

(Pierwsza liczba oznacza numer wyrazu w krzyżówce, liczba po kropce — kolejną literę w tym wyrazie): 1-5, 11-3, 16-5, 1-4, 23-3, 34-3, 8-2, 46-3, 69-2, 45-8, 24-5, 43-4, 7-5, 18-4, 63-4, 40-2, 55-1, 12-2, 31-1, 1-7, 47-3, 48-5, 67-5, 49-1, 2-2, 22-2, 14-3, 64-4, 31-1, 58-3, 49-5, 48-2, 32-2, 33-2, 40-4.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 2 kwietnia (decyduje data stempla pocztowego).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 9

POZIOMO: 1) nabiak; 5) druzba; 8) koszykarka; 9) idea; 10) zakochany; 12) ochota; 14) Zakon; 15) agawa; 17) ośle; 19) ciełe; 20) Indie; 21) karcz; 22) kwiat; 24) strak; 27) fagocyt; 29) awant; 31) Ebro; 32) Bratysława; 33) zaleta; 34) okława.

PIONOWO: 1) Nikozja; 2) bosak; 3) Łukas; 4) Szwecj; 5) dragon; 6) 7-ndlo; 7) arapan; 11) rewolucja; 13) Pominway; 16) glina; 19) egida; 21) kurdesz; 23) Tatiana; 24) szab'a; 25) rubecz; 26) kasyno; 28) góral; 30) miara.

Nagrody za prawidłowe rozwiązania wylosowały panie Ewa Galazkiewicz z Krakowa i Alfreda Kowal z Wrocławia Nowego. Gratulujemy; książki przesyłamy pożą.



Jak dawno to się działo, tego nie wiem, ale wiem, że chodzili wtedy jeszcze po świecie wielkoludy.

W skalnej dolinie pośród gór żyli dwaj bracia. Rodziców mieli biednych, bo na takich skalach nie może urosnąć, a i krowina się nie pożywi. Tym więcej, że nad doliną niedaleko leżał już śnieg wieczysty, co nie topnieje nawet w lipcu. Chmury wlokły się tędy, czepiały się każdego krzaka, każdego płota. Jak człowieka owionęły, to jakby go kto zawinał w mokry całun.

W takim zimnie i biedzie ludzie gorzknieją. Tak też i rodzice tych dwóch synów. Ojciec ich lajał, matka fukała i garnkami trzaskała po kuchni. Co tamci dwaj zrobili, wszystko zdało się rodzicom nie tak. Wciąż ich pędzili po to, po owo, wciąż kazali coś robić, a potem gniewali się, że źle.

Kiedyś ojciec posłał synów o świecie do lasu po drwa. Nie pożegnał ich dobrym słowem, matka nie dała im kawałka chleba na drogę — po prawdzie to nie miała.

Las tam był sosnowy, mizerny, jak to na wysokościach wielkich, i cały śniegiem zawiany. Idą bracia, mróz pcha im się do butów, ziąb pod kurty zagląda, a żołądki aż burczą z głodu.

Wreszcie starszy brat stanął i wykrzyknął:

— Dość mam takiego życia! Pójdę w świąt. Albo zginę, albo mi będzie lepiej.

— Ja z tobą — powiedział młodszy. — Jak się gdzieś ustalimy, to weźmiemy rodziców do siebie.

Poszli ku dolinom.

Przy starej sośnie kolo źródła ścięzki się rozchodzili. Jedna zbiegała nad strumyk i w dół przez łąki, na których śnieg już stajał. A druga skręcała w jeszcze wyższy, jeszcze czarniejszy bór.

Starszy brat chciał iść łąką, a młodszy lasem. Więc pożegnali się pod tą sosną i obiecali sobie, że za rok spotkają się w tym samym miejscu.

Młodszy wszedł znowu w las. Szedł i szedł aż do wieczora. Ledwo już się włókł, tak zesłabł z głodu i z zimna.

Słońce zaraz zajdzie, a bór szumi, jakby groził. Czasem śnieg osypie się z gałęzi za kolumnier, czasem szyszka pacnie. Czasem zatrzeszczy sucha gałąź, a wtedy nie wiadomo, czy to nie dziki zwierz się skrada.

Śraszno w tym borze.

Wreszcie chłopak doszedł do ogromnego drzewa. A to drzewo rozrosło się szeroko i było całe zielone i gęstymi liśćmi szemrzące, jakby to był środek lata.

Stanął i aż głowę zadarł ze zdziwienia, że wierzchołek drzewa sięga tak wysoko w niebo nad sosny borowe i taki jest zielony, mroźem nietknięty, śniegiem nie osypiany. Poznał, że to jabłoń.

Kiedy tak ją ogląda i nadziwił się nie może, naraz pomiędzy konarami widzi jakby dom wielki, rozłożysty, co wisi gdzieś pośród liści i przez zielen prześwituje. „Co to za dom?” — pomyślał — „muszę go obejrzeć”.

Schowal siekierę do dziupli, splunął w garście, podskoczył, za najniższą gałąź się chwycił, wydzwignął się i nuż leżąc na jabłoni. A tu już słońce zaszło, musiał się spieszyć, żeby jeszcze za dnia dojść. Bo, wiecie, to nie było tak, jakbyście leżali na zwyczajną jabłonkę owoce trząść, nie! Na tamto drzewo droga była daleka i móżolna, z dziesięć dzwonne kościelnych musielibyście ustawić jedną na drugiej, żeby sięgnąć do wierzchołka. A dom wisiał pod gamym czubem.

To był dom wielkoludów. Bo wtedy były na świecie wielkoludy

U wielkoludów (baśń szwajcarska)

okrutne i złe, potrafiły nawet człowieka zjeść. Chłopak nie o tym nie wiedział, więc szedł do ich domu.

Zobaczył na lawie rozkrajany bochen chleba, ogromny jak młynskie koło. Ukrajał sobie tęgą pajdę i zjadł, a na chlebie nawet znaku nie zostało, jakby kto okruszynkę odskubał.

Potem chłopak, wlaźł pod łóżko i zasnął. Nie mógł wleźć na łóżko, bo było takie ogromne jak cała chata jego rodziców. No i wolał się schować.

Ledwo zasnął, aż tu zbudził go grzmot — to wielkoludy wracały i ostatni trzasnął drzwiami. Co który z nich stąpnie, trzeszczy cały dom i podłoga jęczy. A kiedy wielkoludy legły na łożu, to się dom tak zakolysał, jak od trzęsienia ziemi.

Chłopak leży pod łożem, nie śmie wyjść, nie śmie z boku na bok się przewrócić... Słucha, o czym wielkoludy z sobą rozmawiają. Kiedy mówią, robi się taki huk, jakby kto skały łupał i toczył z gór po kamienistych zboczach.

Mówi pierwszy wielkolud:

— Wiem o jednym mlynie niedaleko stąd. Tam leży w łóżku piękna dziewczyna i śpi. Rano porwę ją i przyniosę ją sobie tutaj.

Mówi drugi wielkolud:

— Wiem o jednym drzewie na rozstajnych drogach. Biedny drwal chce je ściąć. Pod korzeniami tego drzewa jest ukryty skarb, wygrzebię go sobie i przyniosę tutaj.

Mówi trzeci wielkolud:

— Wiem o jednym domu, ludzie muszą tam nosić wodę z daleka. Obok tego domu leży kamień, na nim siedzi żaba. Pod kamieniem jest źródło, a ludzie o tym nie wiedzą. Ja to źródło odkryję, ale nikomu wody darmo nie dam, tylko będą ją sprzedawać i dorobię się majątku.

Mówi czwarty wielkolud:

— Wiem o jednym zamku zaraz za naszą granicą. Tam mieszka król, co ma chorą córkę, i żaden doktor nie umie jej wyleczyć. Ale niech tylko królowa zje jabłko z tego drzewa, na którym pobudowaliśmy sobie dom, zaraz wyzdrowieje. Zaniosę jej takie jabłko, wtedy będzie musiała zostać moją żoną.

Tak to wielkoludy porozmawiały, a potem zaczęły ziewać, aż wiatr gwizdał po izbie. Wreszcie usnęły i tak chrapały, jakby sto armat waliło. Chłopak ostrożnie wysunął się spod łóżka.

Miał wielką ochotę pobiec zaraz do chorej królowej. Ale pomyślał, że wtedy jeden wielkolud porwie młynarzówną, drugi wykopie skarb, trzeci zabierze studnię, a czwarty królowę za żonę.

Zerwał jabłko, zlaźł z drzewa i pobiegł do młynarza.

Młyn stei cichy, księżyc srebrne iskry sypie na wodę, sowa pokrzuje w spróchniałej wierzbie na grobli:

— Przedzj, przedzj!

Chłopak włożył jej do ręki jabłko z drzewa wielkoludów — królowa otworzyła oczy. Kiedy je powąchała — usmiechnęła się. A kiedy je zjadła — od razu wyzdrowiała.

To dopiero była radość! Król i królowa wyprawili zaraz wesele, zaprosili wszystkich na ucztę i na zabawę. Tańcowano tak wesoło, że potem przez cały miesiąc wszyscy szewcy ledwo mogli nadążyć z zelowaniem butów.

Stary król niedługo umarł, a wtedy młody góral, co przyniósł uzdrawiające jabłko, został królem.

Tymczasem minął już rok, więc wyruszył do lasu, żeby spotkać się ze starszym bratem pod sosną. Poszedł sam jeden i brat stawiał się sam jeden, ale jakiś wynędzniały i markotny. Jemu przez ten czas nie powiedzieli się dobrze.

Opowiedział młodszemu, że go dził się na pastucha, ale kiedy odstąpił swoje i miał wziąć wypłatę, ostatniego dnia wzdęła mu się krowa na pastwisku i zdechła. Gospodarz znalazł go, nie mu nie wypłacił i jeszcze kijem chciał go poczęstować na ochodne.

Starszy brat z początku nie wierzył, że młodszy został królem, myślał, że żartuje. Potem poczul w sercu żal i zazdrość. Tamten opowiedział mu o wielkoludach, o młynarzównie, o skarbie, o wodzie i o chorej królowej.

— Przyszedłem tu, bracie, żeby cię zabrać do siebie, na zamek — powiedział. — Sam sobie wybierzesz, co będziesz chciał robić, a moja głowa w tym, żeby ci było dobrze.

Ale starszy pomyślał: „żeby mnie zrobił kanclerzem albo hetmanem, albo zarządcą pałacowym, zawsze on będzie królem nade mną. Nie chcę! Czy to on lepszy ode mnie? I nie zgodził się.

Młodszy wrócił smutny na zamek, a starszy poszedł do wielkoludów. Chciał też podsłuchać ich tajemnice.

Chociaż strach go oblatywał, wlaźł na jabłoni i schował się pod łożem wielkoludów. Rozległ się grzmot i podłoga jęknęła — to wróciły wielkoludy i trzasnęły drzwiami.

Ale przyszły tylko trzy. Ten czwarty, co chciał porwać młynarzównę, nie wrócił wcale. Bo młynarz zwołał wszystkich sąsiadów, razem zaczęli się na wielkoluda i zatlukli go.

Pozostali trzej chodzili teraz po izbie, grzmocili pięściami w ścianę i wolałi jednan przez drugiego:

— Mnie się nie udało ze skarbem, bo drwal przedtem go zabrał. — Mnie się nie udało ze studnią, bo ktoś przedtem wystrzaszył żabę i kamień odwałił.

— Mnie się nie udało z królową, bo ktoś już wcześniej wyleczył ją naszym jabłkiem.

— Kiedy zerwał nasze jabłko, to musiał tu być!

— Z pewnością podsłuchał naszą rozmowę i dlatego nam się nie udało; bo ten niepoń wszędzie był pierzasty.

— A może on i teraz podsłuchuje? Szukajmy go!

Jak zaczęli szukać, tak znaleźli człowieka skulonego pod łożkiem i zrzucili go z drzewa. O mało się nie zabił.

Młodszy brat sprowadził rodziców i brata do siebie, i wszyscy żyli szczęśliwie. Tylko nie wiem, w jakim kraju. Ale to wszystko jedno, bo jechać tam nie mamy po co. Jesteśmy ludzie zwyczajni, strażę nie wpuszciliby nas na królewski zamek.

Kłamecy do wynajęcia

W Indiach obowiązuje przepis (pochodzący jeszcze z XIX wieku), który powiada, że zeznanie policjanta w sądzie ma tylko wtedy moc dowodu, jeśli poparte jest zeznaniem postronnego świadka. Chroni to wprowadzie obywatela przed nadużyciami władzy ze strony strażników prawa, ale i komplikuje ich pracę. Nie zawsze bowiem policjant ma świadka, który by wsparł jego oskarżenie, zwłaszcza

na babilońskiej bramie Tsztar, obok zwierząt zwyczajnych, autentycznych jak lwy, byki i antylopy. Smoki te mają na przednich łapach szpony jak u drapieżnych ptaków, lub gadzi, język długi i rozwidłony jak u węzów, a na czole sterczy im róg. Odkrywcą ruin babilońskich Koldewey był tego samego zdania co wielu innych historyków, którzy uważali, że smoki są niczym innym, jak tworem wyobraźni artystów epoki. Obecnie hipotezę tę zakwestionował Anglik Willy Lay,

Z różnych stron świata

za w sprawach o drobne kradzieże, zakłócanie porządku publicznego, chuligaństwo czy szulerstwo — jakich jest mnóstwo. Doprowadziło to do powstania czegoś w rodzaju instytucji zawodowych świadków, którzy na zawołanie składają takie zeznania, jakich się od nich wymaga. Są to zwykle uliczni handlarze, domokrądcy, pokatni sprzedawcy, którzy opłacają się policjantom, aby zostawili ich w spokoju. Na żądanie muszą też stawić się w sądzie i popierać oskarżenie, wnoszone przez policję, zresztą pod przysięgą.

Niedawno wybuchł skandal, kiedy jeden z owych fałszywych świadków zapomniał po prostu, co ma mówić i przyznał się do krzywoprzysięstwa. Dziennikarz z „Indian Express” odszukał innego świadka, który zapewne jest rekordzistą w kłamaniu: zeznał fałszywie cztery tysiące razy. Nic dziwnego, że mu się to znudziło i odmówił dalszej współpracy z policją. Natychmiast sprokurowano przeciwko niemu rozmaite zarzuty, i musiał przyjść do sądu tym razem jako oskarżony, a zeznawali na jego niekorzyść liczni świadkowie, oczywiście wynajęci.

Smok babiloński dinozaurem?

Od dawna intrygowały uczonych płaskorzębny smoków, umieszczone

zoolog, specjalista od tzw. rzadkich zwierząt. Sądzi on, że smoki na bramie były przybliżoną reprodukcją zwierzęcia, które rzeczywiście istniało w Afryce Środkowej. Skądinąd wiadomo, że Mezopotamczycy podróżowali w tamte strony i wcale nie wykluczone, że natknęli się na owe dziwne stwory. Kim one były naprawdę? Lay przypuszcza, że dinozaurami, które przetrwały tak długo, korzystając ze stabilizacji kontynentu afrykańskiego.

Znowu przy nadziei

W małym chilijskim miasteczku Puerto de San Antonio, mieszka pani Leontina Espinoza. Jej mąż Gerardo Secundo Albino jest poganiaczem mułów. Pobrali się 41 lat temu, kiedy Leontina skończyła szkołę klaszorną, a miała wtedy zaledwie 14 lat. Tego samego roku urodziła Gerardowi pierwsze dziecko — trojaczki. Później progenitura powiększała się systematycznie, wprowadzie nie każdego roku, ale często spływały się bliźniaki. Rezultat: czterdziestu czterech potomków i tylko sześcioro z nich zmarło.

55-letnia dziś „najplodniejsza matka Chile” — jak ją nazywa prasa — jest znowu przy nadziei. Rozwiązanie ma nastąpić w lecie tego roku.

NAPRAWY AUTOBUSÓW SKODA JELCZ 706 RTO

OBEJMUJĄCE:

- NAPRAWY POAWARYJNE NADWOZI JELCZ 043
- PRACE BLACHARSKO-LAKIERNICZE
- LAKIEROWANIE PIECOWE NADWOZI
- LAKIEROWANIE NATRYSKOWE, farbami piecowymi drobnych detali, części, wyrobów
- NAPRAWY I WYMIANY KOMPLETNE TAPICERKI do typu 043
- NAPRAWY I WYMIANY ZESPOŁÓW I PODZESPOŁÓW PODWOZIA
- NAPRAWY UKŁADU HAMULCOWEGO
- WYTACZANIE BĘBNÓW I NAKŁUWANIE SZCZĘK HAMULCOWYCH

WYKONUJĄ

SADECKIE ZAKŁADY NAPRAWY SAMOCHODÓW W NOWYM SĄCZU,
UL. WĘGIERSKA

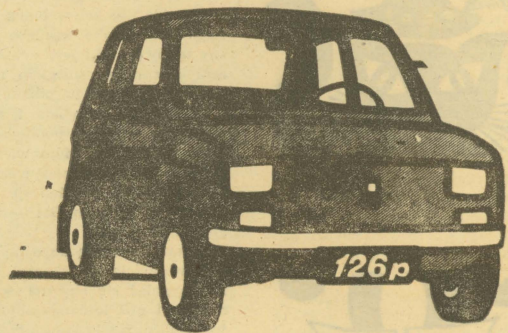
Warunki oraz terminy napraw — do uzgodnienia z Działem
Przyjęć i Zbytu SZNS, telefon 212-73, telex 0325459. K-1165

OGŁOSZENIA PRASOWE do tygodnika „Dunajec”

(reklamowe, komunikaty, nekrologi, ogłoszenia „drobne”)

PRZYJMUJĄ:

- ◆ Sekretariat redakcji tygodnika „Dunajec” w Nowym Sączu, ul. St. Żółkiewskiego 11, tel. 238-36, 238-90
- ◆ Oddział redakcji „Gazety Krakowskiej” w Nowym Sączu, ul. Narutowicza 6, tel. 203-34
- ◆ Biuro Ogłoszeń i Reklam Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego — Kraków, ul. Wiślna 2, tel. 270-89.



**FABRYKA SAMOCHODÓW
MAŁOLITRAŻOWYCH „POLMO”**

ZAKŁAD NR 2 w Tychach

PRZYJMIE pracowników

o zawodach mechaniczno-samochodowych

w szczególności:

- ▲ ŚLUSARZY-MECHANIKÓW
- ▲ MECHANIKÓW SAMOCHODOWYCH
- ▲ MONTERÓW SAMOCHODOWYCH
- ▲ ELEKTRYKÓW i ELEKTROMONTERÓW z uprawnieniami (bez ograniczenia napięcia)
- ▲ SPAWACZY gazowych i elektrycznych
- ▲ ŚLUSARZY narzędziowych i remontowych
- ▲ LAKIERNIKÓW SAMOCHODOWYCH

oraz pracowników na stanowiska:

- ▲ WARTOWNIKÓW Zakładowej Straży Przemysłowej
- ▲ ROBOTNIKÓW niewykwalifikowanych do przyczenia zawodu
- ▲ TŁOCZARZA W METALU
- ▲ OPERATORA suwnic i wózków transportowych
- ▲ ZGRZEWAJĄCY itp.

w zależności od aktualnych potrzeb kadrowych Zakładu.

Przedsiębiorstwo zatrudni również

- ▲ ABSOLWENTÓW zasadniczych szkół zawodowych i średnich szkół zawodowych — oraz
- ▲ ABSOLWENTÓW ochotniczych hufców pracy.

Nowo przyjętym pracownikom przedsiębiorstwo zapewni zakwaterowanie i wyżywienie w stołówkach zakładowych oraz wszystkie świadczenia socjalno-bytowe i możliwość podnoszenia kwalifikacji zawodowych w nowo zorganizowanym Ośrodku Dydaktyczno-Szkoleniowym. — Zakwaterowanie rodzinne do uzgodnienia przy przyjęciu. **KOMPLET DOKUMENTÓW** wymaganych przy przyjęciu do pracy:

- ▲ dowód osobisty, legitymacja ubezpieczeniowa z aktualnym wpisem dotyczącym sposobu rozwiązania umowy o pracę w ostatnim zakładzie pracy i adnotację o wysokości zarobków w ostatnim miejscu pracy, dokumenty stwierdzające kwalifikacje zawodowe, odpisy świadectw szkolnych i innych dokumentów stwierdzających kwalifikacje zawodowe, wraz z oryginałami (do wglądu), książeczka wojskowa, podanie, życiorys dokładnie i czystelnie wypełniony oraz podpisany kwestionariusz osobowy, świadectwa pracy z ostatnich miejsc pracy.

Zainteresowani proszeni są o zgłaszanie się pod adresem: FSM „POLMO” — Zakład Nr 2 — 43-100 TYCHY ul. OSWIĘCIMSKA 401, Dział Kadr, telefon 27-95-13.

Dojazd do Zakładu z Katowic autobusem podmiejskim nr 21 (wysiadając na przystanku w Bieruniu Starym) lub nr 4 do Tych z przesiadką do FSM Bieruń Stary, albo koleją z Katowic do Bierunia Starego.

Tradycję pierwszokwiatniowego zwodzenia bliźnich wywodzą historycy z bardzo zamierzonych czasów i w różny sposób. Jedni wskazują na pogańskie (np. celtyckie) zarty uprawiane podczas święta wiosny. Inni na wielkanocne widowiska pasyjne w średniowieczu, podczas których przedstawiano posyłanie Chrystusa „od Annasza do Kajfasza”. Wszyscy jednak są zgodni co do tego, że tradycja ta przyjęła się na dobre w Europie od roku 1564, kiedy to król Francji Karol IX przeżył dzień Nowego Roku.

Od tej pory przyjął się we Francji zwyczaj ofiarowywania w dniu 1 kwietnia zastępujących dawnie podarunki noworoczne bezwartościowych przedmiotów o zarliwym charakterze. Były to najczęściej wprowadzające w błąd atrapy, zwane „rybami kwiatniowymi”, jako że dzień ten objęty jest zodiakalnym znakiem ryb.

Najciekawszy francuski prima aprilis XX wieku był dziełem telewizji i został odegrany w latach 60-tych, w cyklicznym programie „Trybuna Historii” i kwietnia dwaj sławni historycy, znawcy okresu napoleońskiego, André

Prima Aprilis

Castolet i Alain Decaux, zaprezentowali widzom „sylwetkę bohatera generala Giboyer-Lacaussade'a, który służąc Bonapartemu przeszedł wszystkie szczeble kariery od szeregowca, przemierzając wraz z Wielką Armią całą Europę i zmarł w chwale”. Zrobiona w mistrzowski sposób audycja zjednała generalowi olbrzymią sympatię widzów, posypały się propozycje wystawienia bohaterowi pomnika, nazwania jednej z ulic Paryża jego nazwiskiem, etc. Autorzy audycji poszli za ciosem i przedstawili w studiu „cudem odnalezionego”, potomka generala, który z kolei oświadczył, że dopiero co odnalazł pamiętniki pradziadka. Pokazał jedną, zapisaną kulfunami kartkę rękopisu i zaczął się użalać:

— Niestety jest mi ogromnie trudno odcyfrować pismo generala. albowiem miał on zezą

i dlatego te litery tańczą jakik zwiariowany tańiec...

„Potomek” mówił to tak komicznym głosem, że w pewnym momencie Castolet nie wytrzymał i ryknął śmiechem. W ten sposób mistyfikacja wydała się — general Giboyer-Lacaussade nigdy nie istniał.

W kilka dni później do telewizji nadszedł list, który wzbudził wesołość w całej Francji. Pisała jedna z paryżanek:

„Od dnia ślubu mój mąż tyranizował mnie, twierdząc, że we wszystkim on ma rację i że olbrzymia wiedza, jaka posiada, czyni mnie uczynić skromności i milczenia. Ja byłam głupia — on wiedział wszystko, znał się na wszystkim. Kiedy zaczęliście program o generale Giboyer-Lacaussadzie spytałam go, czy zna tę postać. Odpowiedział: Oczywiście, mógłbym sam napisać jego biografię. To był fajny gość! Kiedy wyjawiliście, że to kawał, miałam największą satysfakcję w moim życiu. Dziękuję wam z całego serca — mam teraz lepsze życie”.



Pomyśl...

• Dużo kłopotu sprawiają listy, które pozostawiono bez odpowiedzi, więcej te, które zapomniano wysłać, a najwięcej te, które zapomniano spalić.

• Pożądanie sprawia, że człowiek jest nader śmiały. Ale miłośnicy zawsze towarzyszy oniesmielenie.

• Najgorszym naszym grzechem wobec bliźnich nie jest nienawiść, ale obojętność, bo jest nieludzka.



Złote myśli

Jestem już tak popularny, że ktoś, kto mnie gani, staje się popularniejszy ode mnie.

Kraus

Nigdy nie nadchodzi chwila, w której możesz powiedzieć: dobrze pracowałem, a jutro jest niedziela.

Pikares

Kolce, które zbieram, pochodzą z krzaka, jaki zasadziłem.

Byron

Zabobanni są w społeczeństwie tym, czym tehorze w wojsku: szerzą panikę.

Wolter

Nigdy nie odkładam na jutro tego, co mogę uczynić pojutrze.

Wilde

ANEGDOTY

Senator Young (demokrata ze stanu Ohio) otrzymał od swego wyborcy list następującej treści: „W ubiegłym tygodniu złożyłem podanie o zezwolenie na łowienie ryb. W tym celu otrzymałem kwestionariusz i wypełniłem następujące rubryki: imię i nazwisko, adres, jak długo mieszkam w stanie Ohio, a kiedy jestem obywatelem USA, data urodzenia, zawód, waga, wzrost, kolor oczu i włosów. Następnie wpłaciłem 4 dolary 35 centów.”

Tego samego dnia kupiłem pistolet. Sprzedawca, który widział mnie po raz pierwszy, nawet nie zapytał, jak się nazywam. Wręczył mi pistolet, wziął pieniądze i powiedział: Dziękuję”.

Popularna gwiazda filmowa Zsa-Zsa Gabor otrzymała kiedyś za-

prośenie do klubu nudystów, z którego jednak nie skorzystała. Wzbudziła tym zaciekawienie nie tylko przyjaciół, ale i prasy. Dziennikarz zapytał ją:

— Dlaczego pani nie poszła? Przecież wszyscy czekali...

— Mój panie — powiedziała aktorka — po prostu nie chciałam się nudzić. Coż to bowiem za przyjemność być na takim przyjęciu, gdzie kobiety mają jednakowy strój?

Pewien zakonnik namawiał Molière'a, aby ofiarował znaczną sumę na rzecz klasztoru.

— Mam ogromnie dużo długów — bronił się znakomity komediopisarz.

— Człowiek winien Bogu znacznie więcej niż wszystkim swoim wierzycielom — nastawał zakonnik.

— Być może — odparł pisarz ze śmiechem — ale Bóg mnie tak okrutnie nie nagabuje jak wierzyciele...

Dr Albert Schweitzer, francuski myśliciel, moralista i lekarz misjonarz, który wiele lat przeżył wśród szeregów w afrykańskim buszu, opowiadał w czasie jednego z rzadkich pobytów w Europie:

— W ciekawym sposobie zareagowali tubylcy w Gabonie, kiedy po raz pierwszy zobaczyli rowery. Oto ich opinia: ci biali są aż tak leniwi, że siedzą nawet wtedy, kiedy uciekają...

Pewien znany adwokat zaprosił na przyjęcie Marka Twaina. Kiedy gość zjawił się, gospodarz nie wyjmując rąk z kieszeni przedstawił go swoim znajomym:

— To jest rzadki egzemplarz Hemingwaya, który bycia śmieśzowy.

— Pan też jest śmieśzowym egzemplarzem — odgrywał się pisarz. — Adwokat, a ręce trzyma je w kieszeniach.



Wiosenne...

Fiołek — w XV wieku nazywał się fiałka, albo fialek. Słowo to jest pochodzenia łacińskiego, ale przeszło do nas przez niemiecki.

Jaskier — niegdyś jaskrek — nazywano go tak, od jaskrawożółtego koloru, ale także ponieważ liście jaskra przyłożone na ciało wywołują zapalenie skóry, która czerwienieje, iskrzy się.

Konwalia — nazwa od łacińskiego *convallis* — dolina. Roślina ta lubi zarosła i gęszce, miejsca, gdzie więcej cienia i wilgoci.